

The illustration is a detailed, dark-toned artwork. In the center, a wolf's head is depicted with large, pointed ears and glowing yellow eyes. Above the wolf's head, a large, light-colored moth with spread wings is shown, emitting a bright, golden light. The entire scene is framed by a dense border of green leaves, blue berries, and purple flowers. The title is written in a white, serif font, with the author's name above it.

Żywia Baczuń
Motyl Nocny

*Żło mówi szeptem,
ale nigdy nie milknie bez echa.*

Motyl Nocny

Żywia Baczuń

© 2026 Żywia Baczuń
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w systemach przetwarzania danych ani przekazywana w jakiegokolwiek formie — elektronicznej, mechanicznej, fotograficznej, nagraniowej czy innej — bez pisemnej zgody właściciela praw autorskich, z wyjątkiem przypadków dozwolonych prawem.

ISBN 978-83-979938-1-5

Wydanie I

Redakcja i skład: Justyna Włodarczyk

Projekt okładki i ilustracje: Oliwia Wysocka

Kontakt z autorem: motylnocnyo@gmail.com

Druk i oprawa: Drukarnia Rubin Kraków, www.diamentdruk.pl

Przyjacielu, zatrzymaj się na chwilę i pozwól na słówko.

Autor apeluje: wyciągnij ostateczne wnioski, dopiero poznawszy całą opowieść. Zanim to nastąpi, zetkniesz się z bohaterami, którzy podejmują różne decyzje, właściwe lub nie, i z biegiem czasu uczą się ze swojej własnej historii... lub nie. Obserwuj ich tak, jak obserwuje się ludzi w swoim otoczeniu: KRYTYCZNIE.

Zresztą, jeśli sięgasz po tę książkę, to pewnie i tak nie ma już dla Ciebie ratunku. Kolejnym krokiem będzie dołączenie do watahy magicznych wilków, aby zastąpić przyjaciół, którzy odwrócili się od Ciebie po Twoich opowieściach o tym, jak zabić pustą strzykawką.

Część pierwsza: wstęp

Rozdział 1

Oto ogół wydarzeń

Niepowszednie historie rzadko zaczynają się z hukiem. Najczęściej dają im początek zwyczajne poranki i drobne wydarzenia, wszystkie razem skradające się jak kot, którego tylko sekundy dzielą od upolowania zdobyczy; niczym ziarnko po ziarnku wpadające do naczynia, żeby w końcu wypełnić je po brzegi. To nie hałas buduje naszą przyszłość. To ciche słowa, jedno po drugim wpelzające do świadomości.

Świeży śnieg pokrywał ziemię od podnóży gór, aż po szczyty. Jego panowanie kończyło się u progu małej jaskini, w głębi której leżała nastroszona kupka futra, kształtami już przypominająca wilka, ale wciąż trochę nieforemna. Zimowy bezruch i nagość lasu sprawiały, że mógł bez trudu wyłapać każdy kroczek, każdy oddech. Żaden intruz nie zaskoczyłby Rutena.

Tego popołudnia, leżąc na swoim legowisku, usłyszał zbliżające się kroki.

Przybyszów było... jeden, dwóch... chwileczkę. Półtora? Wyraźnie słyszał przecież sześć nóg. Świeży puch zagłuszał dowody i tłumił przypuszczenia; pośród jego chrzęstu nie dało się rozpoznać, czyje to mogą być nogi.

— Dziwne szczenię — zaraz po tym stwierdzeniu rozległo się chrząknięcie i świszczący kaszel, zwykle tłumiony przy obcych. Ruten poznałby go wszędzie. Słowa należały do jego opiekuna. Pod troskliwym płaszczykiem kryła się grzeczna obojętność. — Może to, jak to się teraz mówi, melancholia, a może tylko ciężki wyrost, ale jak pomyłony się zachowuje. Odkąd mam go pod opieką, codziennie przez pół dnia siedzi w tej jaskini, a przez drugie pół po lesie łązi. Nie bawi się, nie poluje z innymi, jakby niczego wokół nie widział. Nie podoba mi się, że w tej głuszy mieszka. To jeszcze gówniarz. Ja w jego wieku...

— Niech zgadnę. Miałeś matkę, ojca i czwórkę rodzeństwa — przerwał mu nowy głos. Choć jego melodia zdawała się z natury miękka, to nagłość, z jaką wszedł w słowo opiekunowi, zmroziła Rutena jak zbyt szybko połknięty kawałek lodu. Stary krzykacz miał krótki lont. Niewiele było trzeba, żeby go podpalić.

Kroki ucichły. Najwyraźniej goście chcieli skończyć rozmowę, zanim wejdą do jaskini.

— Trójkę rodzeństwa miałem — sprostował opiekun z wyczuwalnym wyrzutem, ale nie pozwolił sobie nawet warknąć. To wydało się Rutenowi szczególnie interesujące, bo zwykle basior nawet nie próbował hamować przy nim swoich docinków. Dbał o niego równie mocno, jak o zeszłoroczny śnieg. Czasami głodził go przez dzień lub dwa, przekonując, że tylko w ten sposób Ruten w końcu nauczy się polować, pozna tereny watahy, posłucha wilczych rozmów, krótko mówiąc: zacznie żyć.

„Bo nie jesteś jakimś odmieńcem jaskiniowym, tylko wilkiem!”, mawiał, jednak za każdym razem po takiej tyradzie wracał z kawałkiem zdobyczy i łagodzącymi słowami, których młodzik słuchał jednym uchem. Nie łudził się, że to wszystko ze skruchy. Opiekun raczej chciał uniknąć tłumaczenia się z martwego szczeniaka przed resztą watahy.

— Niemniej...

— To prawda, wilki rzadko tędy przechodzą, ale przecież go do mojej jaskini nie zabiorę. Zwariowałibyśmy obaj. Jeden wariat wystarczy.

— Nie lubisz go. Naprawdę już zrozumiałem.

— On nie da się lubić!

— Zobaczymy. — Drugi głos pozostawał przesiąknięty chłodnym dystansem. — Nie lepiej, żeby najpierw porozmawiał z nim psycholog?

— Psycholog? Mamy jakichś chętnych po tym, jak tamta wariatka poprzedniego spaliła? — Opiekun kaszlnął z nutą zdziwienia.

— Ale i sama ostatnią stronę dzieła swojego życia zapisała nad rzeką dwa księżyce temu — zauważył jego towarzysz bez specjalnych uniesień, choć uwadze Rutena nie umknęła chwila wahania, znacząca tyle, że jeszcze niedawno, na widok jęzorów ognia strzelających z wijącej się pacjentki, pod logiczny umysł musiał podszyc się strach. Z łatwością mógł sobie wyobrazić całą scenę; jak oszalała z bólu wadera, niczym przyziemna kometa, pędzi w stronę wody, która miała być jej zbawieniem, a okazała się grobem. Od małego miał bujną fantazję. Po co prawdziwy świat, skoro można stworzyć sobie własny? — Otóż jest nowy psycholog, imieniem Vitale. Nie poznałeś go?

— Chyba nie. Zresztą bardziej tobie ufam, Mundus. Nie chciałbym go przestraszyć, bo i tak jest dość nieśmiały.

— Pamiętaj, że ostrzegałem: nie czuję się kompetentną osobą.

— Ale czasem pomagasz uczyć szczenięcia taktyki. Mógłbyś po swojemu... coś mu powiedzieć.

— Chcesz otworzyć go na świat, czy zwerbować do służb?

— Ty to najchętniej byś się z tą swoją pracą ożenił... A zresztą, może przeszkolenie wojskowe to nie taki zły pomysł.

— Jak sobie życzysz. Chociaż uważam, że nie bez powodu tobie Wrotycz powierzył opiekę nad swoimi dziećmi — mówił dalej nowy głos, choć teraz zabrzmiał nieco cierpko.

Wreszcie weszli do jaskini. W królestwie Rutena nikt nie grał fanfarów. Władca siedział na swoim legowisku niczym na tronie, nonszalancko oparty o ścianę. Chłodne spojrzenie musiało zdradzić, że słyszał każde ich słowo. Uniesione brwi ogłaszały, że liczy na szybkie zakończenie audyencji. Każdy ruch był dokładnie taki, jak planował... Do czasu. Gdy tylko dostrzegł, z kim ma do czynienia, zdradziło go lekkie drgnięcie ucha. Maską obojętności zaczęła pękać. W pewnym sensie nie pomylił się: rzeczywiście było ich półtora.

Drugi gość nie był bowiem wilkiem. Nie był w ogóle żadnym psowatym. Przypominał niebieskawego żurawia z nietypowym, jaszczurczym ogonem, zakończonym sztywną miotłą sterówek w kształcie płetwy. Poza tym prezentował się całkiem zwyczajnie. Po prostu kolejne dziwne, z pozoru szare jak cały świat stworzenie. Jedno z takich, które widzi się raz czy dwa w życiu, ledwie przez chwilę, na dalszej niż zwykle wyprawie w głąb nieznanych zakątków kniei, lecz nie potrafiąc przyporządkować ich do żadnego ze znanych gatunków, zapomina się o nim już następnego poranka. Jednak tę szarość wyraźnie przebiegał błękit i duże, pogodne oczy o barwie jasnego berbersu.

— Witaj, Ruten — odezwał się opiekun maślanym głosem. Ostatni raz użył tego żalostnego tonu, gdy żegnał się z radą, by odprowadzić młodego do jego nowego domu. Żuraw uśmiechnął się lekko.

W odpowiedzi mały położył uszy po sobie i zmarszczył brwi. W głębi duszy czuł, że ten uśmiech nie był jednym z wymuszonych skrzywień, jakie często stosowały dorosłe wilki względem młodych, aby zyskać ich sympatię. To było raczej coś zupełnie odruchowego. Ruten niemal czuł, jak serce nieznajomego zaczęło bić mocniej. Czy rzeczywiście spotkanie szczeniaka, zwłaszcza takiego jak on, osieroconego i niekochanego, mogło być powodem radości? Do tej pory myślał, że taki widok ucieszyłby jedynie większego drapieżnika. Zaraz, zaraz. Gość wspominał coś o ojcu. Zatem zagadka rozwiązana. Przyjaciel.

To mgnienie, przelotne skrzyżowanie spojrzeń, szybciej, niż się tego spodziewał, pomogło mu przełamać pierwsze lody. Jeszcze chwilę wcześniej mógłby przysiąc, że jego maska pozostanie twarda niczym gład.

— Miło mi — rzucił w stronę przybyłych, chociaż zupełnie nie było mu miło. Sam nie był do końca pewien, czy to dobra odpowiedź; jawiła się jako przynajmniej zgodna z konwencją. Ponieważ obecność takiego tłumu we własnej jaskini nieco go tremowała, ominął gości łukiem i usiadł w innym miejscu.

— To Mundus. — Basior spokojnym gestem wskazał na ptasiego kolegę. — Nasz przyjaciel. Poprosiłem go, żeby się tobą zajął przez kilka dni, gdy ja... Będę poza terenami watahy. Mogę was zostawić? — zapytał ciszej. Wzrokiem zdał się nagle szukać pomocy u skrzydlatego towarzysza.

— Nie gryzę — odrzekł ptak. To żarliwe zapewnienie zabrzmiało nawet dość zabawnie, lecz szczeniak zapobiegawczo postanowił zachować na pysku śmiertelną powagę.

Ruten urodził się o pół jesiennego wieczora wcześniej od swojej siostry, jako syn pewnej powabnej wilczycy o anielskich rysach i jakiegoś tam zwykłego żołnierza, niegdyś dobrze znanego na tych ziemiach. Czym się on wsławił? To zamierzchła i strasznie nudna opowieść: jedna strona gryzła się z drugą o wpływy i terytorium, pod starannym pozorem walki o uniwersalne wartości; tak jak to zazwyczaj bywa w bajkach, które małe i duże szczenięta znają z kart kronik watahy. Ojciec, niejaki Wrotycz, zginął, raniony w walce. To uczyniło go kimś ważnym, choć miał już nigdy się tym statusem nie nacieszyć. Nie nacieszył się też narodzinami szceniąt. A może i nacieszył, lecz odszedł z tego świata niedługo później, dlatego nawet najbardziej zamglony obraz Wrotycza nie zdążył zagościć w ich pamięci.

Niedługo po śmierci ojca, w trakcie połogu zmarła także matka; postać zupełnie przezroczysta w oczach Rutena. Nie miała zbyt wielu przyjaciół, więc nikt nigdy nie opowiedział mu o niej żadnej doniosłej historii.

Zostali tylko oni. Bordowy szczeniak o złotych ślepiach i jego ciemnoszara siostra, Cymonia. Otoczeni opieką krewnych i przyjaciół, przynajmniej mogli być spokojni o swoje życie. Nie życzo im zguby. Nie ofiarowano im też wielkiej miłości. Właściwie niczego od nich nie chciano i nie wymagano, a zapewniano tylko to, co konieczne do przeżycia. Rośli więc jak chwasty na żyznej ziemi, w gronie pozostałych chwastów należących do Watahy Srebrnego Chabra.

Z początku nie było nawet tak źle. Razem budzili się w kupie siana służącej za wygodne gniazdko. Całe ranki turlali się i kotłowali w walce na niby. Kiedy dopadało ich zmęczenie, mniej więcej około południa, pożywiali się mlekiem zastępczej matki, której maluchy były jeszcze w drodze. „Co za niebywale szczęśliwe zrządzenie losu”, powtarzała stara medyk, zawsze, gdy ich odwiedzała.

Ruten do tej pory nie miał na temat swojej macochy wyrobionej żadnej opinii. Bardzo dbała o to, by jego małe ciało nie marzło, a futerko zawsze było czyste i gładkie, jednak rzadko ze sobą rozmawiali. Przez większość czasu to Cymonia, urodzona gaduła, zajmowała ją opowieściami o tym, jakich to ona bestii nie pokona i jaką to ona świetną alfą nie będzie. Choćby basiorek głowił się bez końca, nie był w stanie ułożyć takiej gadki szmatki. Pewnie to wzbudziłoby podziw opiekunki, zamiast niezręcznych spojrzeń i wymijających pytań, które słyszał za każdym razem, gdy zaczynał mówić o bezcelowości życia i kruchości wilczego umysłu. Jego siostra przynajmniej go nie oceniała, choć też nie grzeszyła bystrością. Obracała wszystkie jego monologi w żart. W konsekwencji niemal każde popołudnie spędzał na zapamiętywaniu składu maści i mikstur, o których opowiadała mu medyk podczas rutynowych wizyt. Również przed nią większość swoich przemyśleń trzymał zamknięte na kłódkę z tyłu głowy. Słuchał w milczeniu, bojąc się, że nieopatrzny komentarz mógłby zniechęcić wilczycę do dzielenia się z nim swoimi sekretami.

Kiedy w mroku nie sposób było już rozpoznać pojedynczych cieni, a nieustanny potok słów Cymonii zaczynał zwalniać, macocha otulała ich swoim ogonem. Puch wnet zatykał siostrze pyszczek i odcinał Rutena od męczącego świata. Zasypiali razem, zwinięci w jeden kłębek, by rano powtórzyć idealny cykl. Chciał, żeby to wszystko trwało wiecznie. Tylko ich dwoje w nieskończonym wirze zabaw i ciepłych wieczorów.

Nawet odejście zastępczej matki niespecjalnie go poruszyło. Wiedział, że był już wystarczająco duży, by ogrzać się sam. Próbował w ten sposób pocieszyć chlapiącą waderkę; zdziwił się niezmiernie, gdy odwróciła się do niego plecami, jakby ją czymś obraził. Zasnął jednak, mając pewność, że następnego dnia wszystko wróci na swoje miejsce. Zawsze tak było i nie wyobrażał sobie, by tym razem stało się inaczej.

W takiej krainie dane im było przyjść na świat. Z początku Ruten rozumiał tylko te jej prawa, które istotne były dla jego samopoczucia.

Tak się jednak stało, że ledwie nauczyli się biegać, pewnego ranka Cymonia zniknęła, zostawiając go samego w jego małym świecie. A potem, nocą, pojawiła się znów. I ponownie zniknęła, jakby nigdy nie zstępowała w progi rzeczywistego wymiaru, który uwięził jej brata. Jakby była tylko odwiedzającym go, ułudnym marzeniem, niewyraźną marą, przelatującym czasem gołębiem lub wróblem, jednym z chmury innych, które można wypatrzeć na niebie. Gdy ulatniała się porankami, czasem na pożegnanie rzucała mu tylko roztargnione: „Też byś czasem dokądś wyszedł!”. Kim ona była?

Ruten wiedział jedynie, że była. Nie mając niczego oprócz tej pewności, całe dnie przesiadywał w jaskini, wpatrując się w chropawe ściany, dopóki nie nauczył się na pamięć każdej rysy i każdej szczeliny. Najpierw czekał na siostrę. Próbował ją namówić, żeby została i się z nim pobawiła. Oczywiście nie rozumiała. W odwecie wyrzucała mu, że ani razu nie odwiedził ich dawnej opiekunki. Potem jej wieczorne powroty straciły znaczenie. Bardziej frapowało go nowe pytanie: gdzie zniknęła? Wreszcie pewnego dnia zebrał się na odwagę, by pójść w jej ślady. Wyściubił nos na świeże powietrze. Ogrom doznań go wtedy przytłoczył. Światło słoneczne było jaśniejsze, niż wcześniej przypuszczał, a wiatr dął jak gniewny miech lodowego kowala. W końcu jednak Ruten musiał przyzwyczaić się do tych niewygód i odkryć to, co znajdowało się poza zasięgiem wzroku, do tej pory osadzonego wciąż w tym samym miejscu. Nigdy jeszcze niczego nie miał tak dosyć, jak tej nieszczęsnej jaskini. Być może dlatego, że niczego innego nie znał.

Wyruszał więc na coraz śmielsze wyprawy. Dreptał poza utartymi szlakami, po świeżym śniegu, wsłuchując się w jego jednostajne skrzypienie, żeby zagłuszyć myśli o siostrze. Niekiedy była okazja, by powłóczyć się jak cień za opiekunem: podobno przyjacielem ojca, o którym Ruten wiedział wszak niewiele ponad to, że był przyjacielem opiekuna. Jednak i w takich przypadkach nawet chrzęst śniegu był bardziej od tego czarnego gbura przejęty towarzystwem szczenięcia, które

przychodziło chyłkiem, a po niedługim czasie po prostu znikало, często nie wypowiedziawszy ani słowa.

Od chwili, gdy opiekun zrugал go za nazwanie po imieniu jego głupich znajomych podczas wieczornego ogniska, młody wilczek wychodził tylko na samotne spacer. Tak urwała się ostatnia nitka sympatii, niegdyś rozciągnięta pomiędzy nimi.

Gdy wieczorami malec układał się do snu, Cymonia pojawiała się obok niego, grzejąc go swoim ciepłem. Z każdym dniem ciepło to denerwowało go coraz bardziej. Jakim prawem porzucała Rutena i z taką radością wędrowała, jak słońce, gdzieś po świecie, a on zostawał sam, bez zajęcia i pomysłu, w swojej smutnej jaskini, gdzie czekał na niego tylko mrok? Dlaczego pojawiała się w nocy, jak dobry sen, który próbował przypodobać się śpiącej duszy? Dlaczego kładła się obok niego, choć z każdym dniem coraz bardziej oddalali się od siebie, oni, rodzeństwo, które ledwie znało swoje imiona?

Zastanawiał się nad tym długo, ale nie znalazł odpowiedzi, które jednocześnie nie przynosiłyby kolejnych pytań. Zdawało mu się, że on i siostra są jak barwne motyle różnych gatunków, tak inni, a jednocześnie tak podobni. Inni? Od siebie nawzajem, czy może od otaczającego ich świata, który oferował tylko poczucie niespełnienia? Pokrewne myśli nawiedzały go często, a ponieważ były ciekawą alternatywą pustki, wyłapywał je spośród innych, rozkładał na czynniki pierwsze, obracał, unosił pod światło swego oświeconego umysłu. Wciąż nie potrafił zrozumieć siostry. Gdy ją widział, zęby same mu się zaciskały, a czoło marszczyło się, zamiast wygładzać, jak dawniej.

W końcu niechęć przerodziła się w nienawiść.

Pewnej nocy, gdy zostali całkiem sami, a siostrzyczka jak zwykle spała u jego boku, usiadł nad nią. Zapatrzył się w jej stalowoszare futro i lekko pacnął ją po ogonie, aby potwierdzić, że jest zupełnie nieświadoma tego, co dzieje się wokół. To dodało mu odwagi. Postanowił jej dotknąć. Położył łapy na jej szyi i poczuł, jak mięśnie pod skórą lekko drgnęły. Ciepło jej ciała szumiało mu pod palcami. Kiedy delikatnie je zgiął, poczuł coś jeszcze. Władzę. Władzę nad życiem. Władzę nad przeznaczeniem. Ona była rzeczywista, tak jak żałosny świat, który go otaczał. Pomimo swojej prozaicznej otoczki pozostała piękna i fascynująca. Była czymś, co nagle schwyciło wilczycę i przytrzymało ją przez moment na ziemi, w jaskini, ich jaskini, tam, gdzie zawsze na nią czekał. Coś pociągnęło go w kierunku władzy. Znów i znów.

I chociaż po chwili odsunął łapy, a potem położył się obok, do rana śpiąc snem uczciwego, tego co się stało, już nie zapomniał.

Świat za wyjściem z jaskini był tego poranka tak buri, że równie dobrze mógłby w ogóle nie wyciągać słońca z nocnych czeluści. To samo skrzypienie śniegu, to samo zimne powietrze. Ruten ziewnął, przekonany, że dzień skończy

się równie jałowo, jak poprzedni. Następne popołudnie miało upłynąć zmarnowane w tej pieprzonej jaskini. Jasne, nie był przykuty łańcuchami do ściany. Mógł wyjść, dotrzymać towarzystwa opiekunowi, pogawędzić z innymi wilkami, może nawet spróbować upolować jakąś kuropatwę, ale... Brrr. Nie. Zdawało się to tak bezsensownym marnotrawstwem energii.

Chyba zaczynał wariować.

Od jego narodzin nie wypełniły się jeszcze cztery księżyce. Ostatnio Cymonia przeniosła się do nory ciężarnej wilczycy, która opiekowała się nimi od urodzenia. Brata, głosem większości bliższego i dalszego kuzynostwa z Watahy Srebrnego Chabra, okrzyknięto dzieckiem na tyle rozsądnym i ułożonym, by mogło samo zatroszczyć się o siebie — rzecz jasna, pod nadzorem opiekuna. „Najwyższa pora”, zawyrokowały dorosłe wilki, kiwając głowami, a potem dodały: „Jesteś już dużym chłopakiem, poradzisz sobie”. Pozostawiono mu więc tylko gnuśne czekanie na dzień następny, w poczuciu beznadziei, które coraz częściej zaczynał traktować jak kompana owego *niczego*: swojego jedyne go zajęcia w chwilach, których nie poświęcał na spanie lub jedzenie.

Tym razem stało się jednak coś, co przeszkodziło mu w rozmyślaniach. Coś niespodziewanego, co czekało, odkąd przyszedł na świat, aby pojawić się w końcu, właśnie tamtego dnia. Oto wkroczyli do jaskini, jego opiekun i ktoś jeszcze. Oto ktoś nowy. Ktoś ciekawy. A oto...

Oto Ruten

Nie mówiąc wiele więcej, czarny basior ulotnił się pośpiesznie.

Ptak stał w cieniu, opierając się o ścianę jaskini. Nie pozwoliłem, by jakiegokolwiek emocje wydarły się spod moich powiek. Tylko słaby okazuje uczucia, nie znając zamiarów rozmówcy.

Najbezpieczniejszym pytaniem na rozpoczęcie rozmowy zdawało się proste i treściwe „co?”. Na szczęście gość wyręczył mnie w bardziej pomysłowy sposób.

— Wstęp chyba słyszałeś, więc nam go oszczędzę. Wiesz, dlaczego tu jesteś, Ruten?

— Moi rodzice nie żyją. Siostra wyniosła się z domu, bo woli ciotki od brata. Nawet gdy się tu wciąż pałętała, znikwała przy byle okazji. A ten prymitywny osobnik, co to niby się mną opiekuje i udaje stryja, nie jest nawet moim stryjem. Jest tu coś, co zgadza się z pożądanym stanem rzeczy? — zakończyłem pytaniem, zanim zdążyłem ugryźć się w język za tak dogłębne wyznanie. Mimo to nieoczekiwanie rozgorzał we mnie ciepły ogień zadowolenia, że wreszcie miałem szansę donieść komuś o wszystkich swoich żalach.

Mój przedmówca lekko uniósł brwi.

— Nie. Nie ma nic.

— Więc po co to mieć? Jeśli wszyscy wszystko wiemy, to lepiej zająć się bezmyślnym istnieniem.

— Uważasz je za bezmyślne?

— Nie każde, ale tę różnicę też trzeba zrozumieć. Nie oczekuję tego od bezmyślnych — odparłem, na co prychnął cicho.

— Rozumiem. Choć może nie tak, jak tego oczekujesz. — Na to oświadczenie nieznacznie przechyliłem głowę, ale jego spojrzenie pozostało nieprzeniknione. — Pewnie miałeś sporo czasu na dumanie o takich rzeczach, siedząc tutaj całymi dniami?

— Trochę wychodzę na zewnątrz.

— To dobrze, będziesz zdrowszy i silniejszy.

— O rany, woda jest mokra. Kto by pomyślał. Ale to świetnie, chcę być silniejszy. Jak mam zdobyć siłę? — mój głos wyprzedził myśli. Zaintrygowało mnie widmo korzyści, jakie według Mundusa mogło mi przynieść wychodzenie.

Chyba nie spodziewał się tych słów, w odpowiedzi na swoje, rzucone mimochodem. Uśmiechnął się, tak jak wtedy, gdy zobaczył mnie po raz pierwszy. Lekko zmrużył oczy, zbliżył się o dwa kroki i przycupnął naprzeciwko mnie. Żywość jego spojrzenia była subtelna, ale zbyt nagle, by ją przegapić.

— A na co ci ta siła?

— Po... — Wzruszyłem ramionami i zamilkłem. — To śmieszne, że pytasz. To tak, jakby robak pytał but, po co mu twarda podeszwa. — Uśmiechnąłem się półgębkiem, uważnie śledząc jego reakcję.

— Siła — oznajmił, pomijając moją błyskotliwość milczeniem — jest po to, Ruten, abys mógł wybrać, jaką historię będziesz pisać. Słabi rzadko miewają ten przywilej.

— Będę silny — odpowiedziałem poważniej i niezbyt odkrywczco, nie dbałem jednak o efekt. Jakoś zależało mi na podtrzymaniu wymiany zdań z tym podejrzanym znajomym.

— Na takiego wyglądasz — odrzekł, znowu mrużąc oczy. — Pamiętaj tylko, że siła jest niejednolita.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, więc postanowiłem udać, że się zgadzam.

Oto Mundus

Nie czuł się stworzony do takiej roli. Nie był ani krewnym, ani wychowawcą. Nie był kolegą. Doskonale wiedział, że nie ma takowych wśród wilków z watahy. Na litość boską, nie był nawet wilkiem.

A jednak pamięć po jedynym przyjacielu była równie świeża, jak ziemia na jego grobie. Choćby ze względu na nią Mundus nie mógł i nie chciał odmówić pomocy.

Wyobrażał sobie jaskinię duszną od westchnień. Smutek wiszący w powietrzu i ściekający ze ścian; łatwy do rozpoznania i, miał nadzieję, do przepędzenia.

Ku swojemu zaskoczeniu na miejscu nie zastał rozpacz, a obojętność. Szczeniak leżał jak kłoda, odwracając spojrzenie od wszystkiego, co mogłoby go podnieść. Mundus nie musiał dociekać przyczyny, znał ją doskonale. Jak jednak zaradzić brakowi towarzystwa, tęsknocie za siostrą, matką i ojcem, czy wynikającej z braku ich wsparcia nieufności do całego świata? Aby zbliżyć się do Rutena, należało znaleźć szczelinę w murze, którym odgradził się od świata. Opiekun stanowczo zbyt późno wziął się za jego socjalizację.

Dopiero podczas rozmowy okazało się, że sprawy mogą potoczyć się nieco inaczej, niż wyglądało to w optymistycznych założeniach. Należy bowiem przyznać uczciwie, że o ile Mundus był świetnym teoretykiem, zwłaszcza jeśli chodziło o rozmowy z wilkami, o tyle, gdy przychodziło co do czego, miał brzydki zwyczaj rezygnowania z większości swoich pomysłów kosztem wycofania się i obserwacji pozbawionej tak ryzyka, jak i szans. Sam był jeszcze młody i brakowało mu w tej sferze doświadczenia. Potęgował to fakt, że, za sprawą prawideł natury, stety niestety czekać go miało życie sporo dłuższe i fizjologicznie bardziej rozwlekłe niż jego wilczych przyjaciół. Dziwnie żyło mu się ze świadomością, że gdy psowaci rówieśnicy będą pochylać się od ciężaru lat, on dopiero zdąży się wyprostować.

Przyglądał się więc i słuchał również tym razem; a z każdym słowem rosło prawdopodobieństwo, że następne odgadnie sam. Coś spodobało mu się w tym dziecku. Nie złote serce, bo nawet ze stetoskopem nie znać było takiego. Nie czyste myśli, bo na kilometr czuć było, że jego, odcięte od świeżego powietrza, zaczynały gnić. A może to właśnie ta pustka i zgnilizna przyciągały uwagę? Ta odmienność od wzorca, która czyniła Rutena wyjątkowym przypadkiem?

Jaki był tego cel? Mundus jeszcze nie wiedział. Po prostu znał zarówno budującą, jak i niszczącą moc słów, i miał ochotę ją wykorzystać.

To nie tak, że nie podejrzewał, że brak ostrożności może doprowadzić do katastrofy. Zdawanie się na rozsądek malców w decydowaniu o swoim życiu, gdy ich doświadczenie jest jeszcze nikłe, a ich młode mózgi nierozwinięte, nie jest chyba dobrym pomysłem, prawda?

Zawrócił więc z krzywych torów i zaczął grać na czas, ograniczając się do odpowiedzi na nudne, szczenięce pytania. Poszedł nawet o krok dalej, zaczął zadawać pytania równie bezwartościowe: o opinię na temat samopoczucia i dzisiejszych przeżyć Rutena.

Obiecał sobie traktować go jak kolejnego małego druha, któremu mógłby posłużyć za starszego brata. Na wspomnienie czasu spędzonego z Wrotyczem w Lidze Płowej Ziemi wykiełkowała w nim naiwna nadzieja, że się uda, że nowy rozdział otworzy mu drogę do zasiania na młodym, podatnym gruncie ziaren pasji, a potem zebrania plonów w postaci wymiernych korzyści, jakie mógłby

przynieść watasze kolejny, pracowity członek. W końcu, mimo wszystko, w Mundusie odezwał się odruch wyrabiany spolegliwie od skorupki, za każdym razem, gdy uczono go, by stał z boku i brał to, co zostanie. Dawno już skrzydła mu się wzmocniły, szpony wyostrzyły, a wilki, które niegdyś szczyrzyły na niego kły, dziś tylko odwracały wzrok. Mimo to w sercu pozostała nieuchwytna luka, której nie potrafił zapełnić, a która wołała czerpać ze źródła, niż być źródłem. Ledwie wyłapał moment, w którym pozwolił sobie stracić kontrolę nad rozmową.

Jak czasoprzestrzeń zakrzywia się w zasięgu galaktyki pod wpływem jej masy, tak słabości charakteru ujawniają się, gdy mówca ugina się pod wpływem świdrującego spojrzenia słuchacza.

— Kim chcesz zostać w przyszłości? Myślałeś już nad tym? — zapytał. Szczeniak pokręcił głową, marszcząc nos.

— To kolejna mądrość ludowa, że każdy musi być kimś?

— To wzajemna zależność. Ty dajesz watasze swój czas i wysiłek, a ona zapewnia ci pożywienie, wsparcie, bezpieczeństwo i medyka, jeśli się połamiesz.

— A co, jeśli nie chcę tego wszystkiego?

— Zamierzasz zdobyć to sam? To by było interesujące. Jakim sposobem?

— Liczę, że dowiem się tego na przykład od ciebie. Po coś chyba tu jesteś. Miałeś mi pomóc. No, pokaż, profesorze, ile jesteś wart.

„To chyba nie jest pomoc, której teraz potrzebujesz, Ruten”, Mundus odpowiedział tylko w myślach. Oczy szczenięcia rzucały mu wyzwanie, które usilnie próbował zlekceważyć. „Ale czy nie jest to przypadkiem pomoc, której potrafiłbym ci udzielić?”.

A to ciąg dalszy ogółu wydarzeń

Gość wyszedł późnym wieczorem.

Cisza po jego zniknięciu zdawała się dudnić w kamiennych ścianach jaskini. Nowe doświadczenie udrożniło w głowie Rutena zatarasowany wcześniej korytarz, ale jeden diabeł wiedział, dokąd on prowadzi. Jeszcze przez chwilę wilczek kręcił się w kółko, aż odgłos własnych kroków zaczął drapać go w uszy. Wreszcie machinalnie skierował kroki w stronę lasu, ścieżką na najbliższą polanę. Zatrzymał się dopiero, gdy usłyszał echo powarkiwania i głośnej rozmowy. Skręcił, upatrzawszy sobie godne obserwatorium pod rozłożystymi gałęziami rosnącej na skraju polany sosny.

Cień objął go szczelnie jak zimowa sierść. Sosnowe igły drażniły jego ucho, zmuszając do krótkich, nerwowych szarpnięć.

Nie wychodził z ukrycia, mimo że jedno ze szczeniąt bawiących się pod lasem rzuciło mu przelotne spojrzenie. Nawet jeśli ich oczy go dostrzegały, przyzwyczaił się już do bycia niewidzialnym. Przeźroczyłość społeczna stała się jego wyjątkowym uzdolnieniem, które pieczołowicie rozwijał każdego dnia. Wiedział

już, które dzieci z towarzystwa nie zawodziły; nigdy nie odzywały się ani słowem, nie zapraszały go do zabawy. Ich obecność denerwowała go najmniej.

Zawsze, gdy jeden z przebiegających obok, roześmianych rówieśników szturchnął go przypadkiem na ścieżce lub gdy, pędząc ku swoim naiwnym przygodom, wymijał jak krzak czy pień drzewa, serce Rutena, niczym głęboka i pojemna studnia, nappełniało się dumą. Był ponad nimi. Stał pośród tłumu i patrzył na niego z góry, jak żuraw pomiędzy wijącymi się w trawie zaskrońcami. A chociaż dziób miał jeszcze miękki i tępy, powtarzał sobie, że jego zaostrenie jest tylko kwestią czasu.

Także tego dnia, gdy wpatrywał się w podgryzające się nawzajem szczeniaki, każde ich puste spojrzenie, skierowane na niego, lecz nie do niego, wzbudzało przyjemne dreszcze. Były jak porozumiewawcze mrugnięcie, od samego siebie, do samego siebie. Były jak ostateczna zapowiedź czegoś długo wyczekiwanego.

Kiedy ta ferajna postanowiła przenieść zabawę gdzie indziej, bliżej centrum watahy, wstał z ociąganiem i zniknął w cieniu pierwszych drzew. Bez szczególnego zainteresowania zaczął śledzić wydeptaną w mchu trasę, którą, w stronę mrowiska, biegła niepoliczalna grupa dużych, czarnych mrówek. Maleńki pochód maszerował naprzód, tworząc widoczną z góry ciemną chmurę. Drobiniki sunęły prosto, równym tempem, jakby były już spóźnione. Nieliczne uciekały na boki, tylko po to, by szybko cofnąć się na szlak. Dopiero po chwili Ruten zauważył, jak każdy zbłąkany owad wraca w szeregi doskonałym półokręgiem i coś w tej uporczywej precyzji stopniowo zaczęło pochłaniać bez reszty głodny bodźców mózg. Chwilę później miał już wrażenie, że idzie razem z mrówkami, dokąds, w nieznane. Chyba nawet lekko otworzył pysk.

Świat zaczął wirować.

Maleńkie mróweczki. Jak pewne siebie były. Jak pewnie dreptały naprzód. Jak w pocie czoła znosiły do domu, na swoich maleńkich ciałkach, wszystkie tak dla nich wartościowe rzeczy.

Odetchnął głębiej, to przymykając, to znów otwierając oczy. Obserwacja stała się czymś na kształt medytacji, uspokajającej i układającej rozbiegane wszędzie myśli, by stały się jak te mrówki. Aby dotrzymały kroku jedna drugiej.

W zadumie uniósł łapę. Delikatnie zbliżył ją do ciemnej gęstwiny drobnych owadów. Patrzył, jak rozpraszają się w popłochu, gdy kładzie ją na środku drogi. Po krótkiej chwili towarzystwo uspokoiło się i znów zaczęło iść prosto do celu, obierając nową trasę przez środek tej niewielkiej przeszkody. Jakże interesujące było to chwilowe zmieszanie.

Potem zrodziła się ciekawość. Co się stanie, jeśli...

Podniósł łapę po raz drugi, najwyżej jak mógł, po czym z całej siły uderzył w ubity piach, miażdżąc wszystkie stworzonka znajdujące się na linii ognia. W grupie znów zapanował zamęt, lecz tym razem okazał się mniejszy,

najprawdopodobniej dlatego, że kończyła zaraz po uderzeniu ponownie zawisła w powietrzu i nie zagradzała już trasy.

To dopiero ciekawe.



Maleńkie mróweczki. Było ich tak wiele, że śmierć kilku towarzyszek zdawała się dla nich niezauważalna, nieistotna jak przedawnione plotki. Nie to, co u wilków, gdzie każdy każdego znał i... A może właśnie nie? Wzajemna troska to stan pożądany dla gatunku, którego funkcjonowanie opiera się na istnieniu rodziny, ale czy mały Ruten był w stanie wymienić imiona wszystkich swoich krewnych? Nie, wataha była naprawdę liczna. Nawet w zestawieniu z obiema sąsiadkami tworzyła przytłaczająco gęstą grupę.

Nie namyślając się długo, wstał. Z braku lepszego zajęcia w lesie, gdzie jego jedynym towarzystwem były martwe mrówki, które nie zdążyły uciec do mrowiska, podreptał z powrotem do swojej jaskini.

Mundus wrócił następnego dnia, około południa.

Rutena intrygowały nie tylko słowa tego dziwnego stworzenia, ale i cała istota charakteru, który się za nimi krył. Z niezrozumiałych dla siebie powodów czuł też, że w jakiś sposób ma tego nowego znajomego w garści. Ten błysk w oku nie mógł być przecież nieszczerzy.

— Masz jakieś zainteresowania? Siedzenie w jaskini i unikanie innych się nie liczy.

— Mam, nawet niejedno — odparł Ruten, lekko wzruszając ramionami. — Lubię obserwować, jak świat się miota.

— Widzę... — Ich spojrzenia spotkały się w pół drogi.

— I wymyślać dla niego... rozwiązania — dodał, nie znajdując innego określenia na to, co przyszło mu do głowy.

— Poznajesz i udoskonalas — mówił ptak, chyba bardziej do samego siebie niż do rozmówcy. — Pięknie.

— Nie pięknie, tylko praktycznie. Lubię doskonałe rzeczy, bo na niedoskonałe tylko traci się czas. Lubię... Panować nad tymi rzeczami. — Milczał przez krótką chwilę, po czym z gniewnym błyskiem w oku dodał: — Wyłumacz mi, dlaczego wszyscy boją się słowa „władza”? Traktujecie ją jak brud, którego nie wolno dotknąć. Dlaczego wszyscy boją się nawet wspomnieć o władzy? Dlaczego mam wrażenie, że opiekun powiedziałby mi teraz, że robię coś, czego „nie powinienem”?

— „Dlaczego” to zawsze dobre pytanie. Tylko odpowiedź na nie pozwala zrozumieć istotę sprawy, jakiegokolwiek. Dlatego właśnie to pierwsze pytanie, na które trzeba odpowiedzieć, opowiadając.

— Ziemia do Mundusa.

— Bo czasem trudno rozstrzygnąć, czy władza niesie więcej dobra, czy zła. Widzisz, porządek społeczny wygląda różnie u różnych gatunków zwierząt i łączy się z szeroko pojętą władzą nad czymś. Ale ty... mówisz o władzy nad *czymś*, lecz myślisz o władzy nad *kimś*. O niej mówimy i myślimy najczęściej albo chcąc ją zdobyć, albo by uniknąć dostania się pod jej wpływ.

— Najczęściej — powtórzył w zadumie wilczek.

— Czasem też odpowiadamy na pytania. — Ptak uśmiechnął się lekko.

— A jeśli nawet? Ogół jest ślepy, to jasne, że ktoś musi trzymać go za pysk.

— Tak uważasz?

— W rzeczy samej. I nie potrzebuję twojego potwierdzenia.

— Fakt, ogół to siła, ale bez rdzenia kręgowego łapa nie odsunie się od ognia.

— A więc się ze mną zgadzasz — mruknął Ruten podejrzliwie.

— Niezupełnie. Potrzebne są do tego także mięśnie, płuca... Każde z nich jest od czegoś zależne, a czymś innym zarządza. Poza tym nie uważam, aby ogół był z zasady do końca ślepy. W jednym masz rację. Wilcza wataha ma w sobie coś z organizmu, więc powinna działać jak organizm, we współpracy i wewnętrznej równowadze. Organizm potrzebuje neuronów jak każdych innych komórek. Mózg nadzoruje skurcz oskrzeli i ruch jelit. A sam mózg potrzebuje tlenu, którego dostarczą płuca, i glukozy, którą wchłoną jelita.

— Wiesz, że brak mózgu oznacza koniec. Skóra może gnicić, pazur się złamie... i nic — zauważył szczeniak. — Gdyby nagle zginęło kilku szeregowców, nikt by tego nawet nie zauważył. Ale zabierz jednego alfę, a wataha rozpadnie się szybciej niż twoje metafory.

— Organizmy się adaptują. Wataha też. Przywództwo jest potrzebne, ale nie samowystarczalne. Taką władzę zawsze coś wiąże.

— Wiem co. Prawo. Te wszystkie kruczki i zawiłości.

— Kto opanuje prawo, ma władzę tylko nad tym, na co pozwoli jego twórca. I tylko dopóki się ono nie zmieni. Istnieją zjawiska stojące ponad prawem.

— Szkoda, że nie mogę kazać burzy zejść mi z drogi. — Pomimo pozornie żartobliwego tonu, zdanie to nie brzmiało jak naiwne, dziecięce marzenie. Wielu mieszkańców Watahy Srebrnego Chabra matka natura obdarzyła nadprzyrodzonymi mocami. Niejeden sąsiad potrafił skrócić zającowi kark telekinezą, a niezwykle sąsiadki miały umiejętności manipulowania emocjami mężów lub podpalania stosików suchych gałęzi kłapnięciem zębów. Ani Ruten, ani Cymonia nie należeli do grona tych szczęśliwców, co wydawało mu się bardzo niesprawiedliwe. On, zamiast bawić się w budowanie szalasów, wymyśliłby, jak wykorzystać pełnię swojej mocy.

— Teoretycznie to możliwe. Nieosiągalne dla nas, ale możliwe. Lecz sama pogoda nie jest wszechmocna i nie osiągnie dla ciebie wszystkiego. Pomimo całej swojej potęgi, może być za słaba i zbyt nieprecyzyjna. — Uciał wypowiedź. Rozmowa zmierzała w złym kierunku. Zanim jednak zdołał delikatnie sprowadzić ją na inną ścieżkę, przerwał mu zawiedziony głos Rutena; był nieuchwytny, lecz jaskrawy jak iskra wypadająca spod krzesiwa.

— Nie ma zatem prawdziwej władzy?

— Chcesz prawdziwej władzy? — Mundus przerwał, zastanawiając się, czy wypowiedzenie tych słów jest tylko miernym, czy raczej tragicznym pomysłem. Widząc jednak wyczekujące oczy małego, wreszcie dokończył nieśpiesznie: — Pamiętaj, że kto ma władzę nad biologią, ten ma władzę nad życiem.

Tym razem odpowiedziała mu cisza i błysk w żółtych ślepiach. Choć Mundus dostrzegł go, z jakiegoś powodu nie żałował.

Może... może później.

Kości, wilcze kości. Ruten był bardzo ciekawy, jak mocne są wilcze kości. Tego dnia na spacerze w lesie znalazł fragmenty szkieletów kilku różnych zwierząt, które chciał wykorzystać do swoich pierwszych badań. Postanowił zostać wynalazcą. Odkrywca nowych rozwiązań, na które, choć były zupełnie proste, nie wpadł jeszcze nikt przed nim.

Tak więc kości. Jakie zwierzęta z lasu mają najtwardsze kości? Wilki, które często przemierzają w ciągu dnia ogromne odległości, przypuszczalnie będą silną konkurencją. Dla innych psowatych na pewno. Kilka razy widział w lesie jakiegoś zabłąkanego albo porzuconego psa, który ani chybi został szybko zlikwidowany przez łowców watahy. Jakie to chude i słabe! Niemoc aż spływała z położonych po sobie uszu i zapadniętego kręgosłupa, który przypominał raczej kręgosłup wygłodzonej szkapy.

Może łosie lub jelenie? Ich nogi też muszą być silne, ale jak wypadłyby, gdyby zmniejszyć je do rozmiarów wilczych nóg? Nad tym trudniej pracować, nie mając odpowiednich narzędzi. Co najwyżej można pozbierać kilka ładnych egzemplarzy piszczeli różnych gatunków. Potem porównać ich twardość i wytrzymałość. A potem...

Sokół własnych myśli poderwał jego umysł do lotu, ale nagle coś szarpnęło i nieszczęsny Ruten spadł, z ciężkim wstrząsem lądując w rzeczywistości. Potoczył wokół trochę nieobecny wzrokiem. Stało przed nim stworzenie, które dobrze znał, a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie panikował, szybko zerknął tylko za siebie, dla pewności, że ma czystą drogę ucieczki.

— Hej. Już ze spaceru wróciłeś? — mruknął czarny basior. Ten ktoś... Czy on nie miał być w tym momencie daleko stąd?

— Taaak. — Szczeniak uśmiechnął się przebiegle, za co niemal od razu zganił się w duchu. Zbyt wymowny wyraz pyska mógł zniweczyć wszystkie jego plany. Trudno mu było sklecić słowa w sensowną całość, gdy myślał zupełnie o czymś innym. Przed oczyma miał już swój nowy cel na następne dni, tygodnie, a przy dobrych wiatrach, może nawet całe księżycy.

— Widzę, że humor też już ci się polepszył. — Wilk zamachał ogonem na znak radości, choć Ruten był prawie pewny, że w rzeczywistości ten gest nie miał z nią nic wspólnego. Z grzeczności pokiwał głową, w nadziei, że etapowo uzyska odpowiedzi na wszystkie kłopotliwe pytania. — No cóż, jeśli niczego nie potrzebujesz, może już pójdę. — Sapnął basior. — Wyglądasz na zmęczonego.

Basiorek mruknął pod nosem coś, co najwyraźniej wystarczyło, bo nieznajomy odszedł. Dopiero patrząc za oddalającą się sylwetką, zaczął odzyskiwać świadomość. Przecież to jego opiekun! Co sprawiło, że chwilę wcześniej zapomniał nawet, skąd zna jego głos?

Nie, zacznijmy od początku: skąd on w ogóle wziął się... tam? Kości, szukał kości w lesie. A potem trach.

Rozejrzał się wolno. Był przed jaskinią, w której mieszkał. A jednak jeszcze przed momentem, choć stał w tym samym miejscu i gniótł łapą tę samą kępkę trawy, wszystko zdawało mu się obce.

Powoli zaczął przypominać sobie urywki ostatniej rozmowy z Mundusem. Z jakiegoś powodu nie mógł pozbyć się wrażenia, że miała ona miejsce kilka dni wcześniej. Nieźle pasowałoby to do całokształtu sytuacji, w której znalazł się tak nagle: rzeczywiście szukał kości w lesie, a potem nagle się zamyślił i umknęło mu kolejne kilka dni.

Przede wszystkim jednak byłaby to prawda alarmująca. Jeszcze bardziej alarmująca, niż zadowolony opiekun. A może tę rozmowę sobie tylko wyobraził? Otrząsnął się i wszedł do środka. Chyba rzeczywiście był bardzo zmęczony.

Ruten sunął wzdłuż brzegu jeziora, uważnie obserwując otoczenie. Jego łapy ślizgały się po równej gładzi, niekiedy tylko napotykając drobne niedoskonałości. Z niełaską w oczach ominął dramatyczne wgłębienie; stary ślad jakiegoś bliźniego, który zaufał lodowej płycie zbyt wcześnie i zafundował sobie kąpiel w mroźnej toni.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie lód wydawał się bardziej przezroczysty, i podskoczył, by uderzyć mocniej w taflę. Jednak miękkie poduszki łap tylko pacnęły o twardą powierzchnię, nie przyozdabiając jej nawet w skromne pęknięcie. Szczeniak zasępił się. Łatwiej byłoby pozyskać lód na południowych mokradłach Watahy Wielkich Nadziei. Tamten był cieńszy, w wielu miejscach rozdeptany przez łosie. Opiekun kręcił nosem, gdy odkrył, że wychowanek podczas spacerów zapuszcza się aż tam. Rutena bawiła jego udawana troska, a każde pogrożenie konsekwencjami i tak kończyło się w ten sam sposób: czarny basior znikał na kolejny dzień, czasem dwa, podczas których jego podopieczny robił, co chciał, śmiejąc się w twarz wszelkim konsekwencjom. Kłopot był w czym innym: lód na mokradłach był poprzetykany trawą i podbarwiony błotem. Był brudny. Nadawałby się może do chlapania lub picia, ale nie do uprawiania nauki!

Podszedł do rosnącej nad brzegiem leszczyny. W trawie, u jej drewnianych stóp, leżała gruba gałąź, której koniec, pochwycony w lodowe kleszcze, znikał pod wodą. Szczeniak okrążył go, ujął w zęby i szarpnął do góry. Potem wcisnął z powrotem w ziemię. Znów pociągnął... aż dźwignia poszła w ruch. Niebawem kroczył zasapany, dzierżąc w pysku swoją zdobycz. Dorzucił kawał lodu do trzech innych, które leżały już w kryjówce.

Na pierwszy rzut oka to miejsce wydawało się zupełnie zwyczajną jamą. Była ciasna, skryta na uboczu i szczyrzyła się skalnymi szpicami wystającymi ze ścian, niczym paszcza szczerbatego rekina. Za paszczą mieściła się gardziel: kręty korytarz zwieńczony maleńką komorą, z której ciągnęło chłodem jak z samego wnętrza ziemi. Choć była stanowczo za mała, by mógł przecisnąć się przez nią i zbadać to, co kryło się dalej w podziemnych tunelach, zauważył pewne ciekawe

zjawisko. Dzięki wiejącemu z wnętrza lodowatemu wiatrowi, temperatura i wilgotność w kryjówce pozostawały niezmiennie, niezależnie od pory dnia oraz pogody.

„Mundus mówił, że gdy zacznie się wiosna, lód stopnieje. A może znalazłem miejsce, w którym zawsze trwa zima?”. Choć nie poznał jeszcze na własnej skórze ocieplenia czy lata, liczył, że jego praca będzie warta zachodu i zebrany lód poleży w kryjówce jeszcze przez długi czas. A do czego będzie można go wykorzystać? Nie wiedział, ale był pewien, że woda w kawałkach może mieć tysiące zastosowań.

Gdy bordowy ogon zniknął, a kroki ucichły, tylko wiatr zajęczał w lodowej samotni.

Ruten czuł się coraz bardziej dorośle. Z dnia na dzień jego pysk stawał się poważniejszy, jego mięśnie nabierały wyczekiwanej siły i masy. Opiekun nie miał już nad nim władzy. Najbardziej podniecająca była jednak myśl o początku realizacji wielkiego planu, teraz, gdy zyskał towarzysza, dzięki któremu nie czuł się zupełnie osamotniony.

— Masz chyba trudności z czytaniem emocji — zauważył kiedyś Mundus. — Zresztą skąd miałbyś znać wilki, jeśli w ogóle się z nimi nie spotykasz.

— Gadasz od rzeczy — uciał krótko basiorek, tym razem nie zaszczycając znajomego nawet przelotnym spojrzeniem, jakby był źle postawionym przypisem w przeglądanej właśnie kronice.

— Cudze uczucia cię nie obchodzą. A może od nich uciekasz? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

— Przestań — warknął Ruten. — Nie chcę tego słuchać.

— Dlaczego? Obrażam cię?

— Nie podobają mi się twoje dziwne nadinterpretacje. Wiesz, że to może być niebezpieczne, jeśli nie ma się nawet czterech łap, co nie?

— Tak mówisz? — Mundus uśmiechnął się lekko. Rutenowi nie podobał się ten uśmiech. W zasadzie ptak nie musiał się nawet uśmiechać; samym tym przenikliwym, zwodniczo odprężonym spojrzeniem sprawiał, że wilka skręcało w przelyku.

— Niepotrzebnie przypomniałeś mi o Cymonii. — W końcu Ruten postanowił zmienić temat. Tym razem wybaczył gościowi tak bezczelne znieważenie.

— To twoja siostra. W żaden sposób nie jest winna twojemu nieszczęściu. Za to może pomóc ci zdobyć wiedzę, na której podobno ci zależy.

— Niby w jaki sposób? Jest głupia jak but.

— Jeśli tak uważasz, musisz mieć powód. A co, jeśli się zaskoczysz?

— Nie sądzę.

— Zobaczysz, w jaki.

— Gdzie ona będzie? Ta dzieciata kluska nie wypędziła jej, jak dorobiła się własnych szczeniąt? Ja bym się bał, że któreś przez przypadek rozdepcze.

— Teraz mieszka na południu, na stepach. — Mundus westchnął z ostrożnością, z jaką dotyka się niedawno zagojonej rany. — Kiedyś była to siedziba stowarzyszenia twojego ojca.

— Mało o nim wiem, ale myślałem, że nikt już tam nie mieszka.

— Teraz już tylko dwa wilki. Ardyt, najbliższy współpracownik Wrotycza, który został tam po rozwiązaniu ligi, oraz Cymonia, odkąd trochę wyrosła. Oboje nie bardzo mieli dokąd pójść.

— Powtarzam pytanie — odezwał się nagle Ruten. — Jak niby ona ma pomóc mi zdobyć wiedzę?

— Może nie do końca ona, ale jej nauczyciel.

— Kto to? Zresztą, nieważne. Sam mógłbym się uczyć, a ty byś mi pomógł, jeśli taki z ciebie mądrała.

— On ma wiedzę, której ja nie mam. Zresztą ma też więcej czasu. Lepiej, jeśli zostaniesz jego uczniem.

Basiorek rzucił jeszcze kilka niechętnych min, ale umilkł, skrycie zaciekawiony niezwykłym źródłem wiedzy, które zamierzał przedstawić mu przyjaciel.

Wyszli. Był to ich pierwszy wspólny spacer. Nie różnił się zbyt od dawnych wędrówek, podczas których szczeniak dreptał krok w krok za opiekunem. Po prostu w milczeniu przedzierali się przez krzaki i przemierzali kolejne leśne polanki. Tym razem było jednak coś, co sprawiło, że ta mordęga wydała się Rutenowi warta zachodu. Wreszcie widział cel; był uczestnikiem wyprawy, a nie kulą u nogi. Mimo to zdał się na swojego przewodnika i pozwolił sobie na odpoczynek od myślenia. Rozglądając się wokół, chłonał oczyma nieruchomy, głuchy las. Podążał za ptakiem jak zagubiony na morzu statek, płynący wprost na światło latarni.

W końcu coś zaczęło się zmieniać. Gdy wyszli na otwartą przestrzeń, świat nagle wydał się bezgranicznie głęboki. Młody wilk odetchnął pełną piersią. Powietrze pachniało stepem; suchą trawą i pyłem, które od razu ściągnęły go myślami na południe, poza znany mu obszar skalistych wzniesień, przez miejscowych szumnie zwanych górami.

— To tutaj. Poczekaj — oświadczyła jego latarnia.

Mundus na chwilę zniknął w wejściu do obszernej jamy, widocznej pomiędzy ciernistymi krzewami, a następnie wyszedł w towarzystwie płowego wilka, jeszcze dosyć młodego z wyglądu, lecz starego z oczu i kulejącego na swoich trzech nogach.

— Jest u siebie. — Obcy skinął głową. — Chciałem, żeby zamieszkała w naszej głównej siedzibie, ale wołała jedną z nor, które wykopaliśmy dla rodzin naszych wojowników.

— Są tam. — Mundus wskazał szczeniakowi kierunek. — Idź, my chwilę porozmawiamy. Cymonia wie już o wszystkim.

Ruten w milczeniu pokiwał łbem.

— Ładnie tu sobie żyjesz. — Skrzydlaty potoczył wzrokiem dookoła.

— Powoli uprzątam pobożowisko. Najwyższa pora — mówił Ardyt. — Trzeba żyć dalej. Tyle że ja całe życie związałem z ligą. Co mam robić teraz, gdy jej nie ma? Wszyscy pamiętają, że Wrotycza pogrzebano, ale nikt nie wie, że mnie pogrzebano razem z nim. Jego córka chce ożywić to pustkowie i teraz siedzimy tu we dwoje, ale w końcu i jej sił zabraknie. Dobrze chociaż, że ty jeszcze potrafisz tu trafić.

— To miejsce to też trochę mój dom. Jak twoja noga? Medyk obawiał się łamać kość. Chciał amputować całą.

— Już dawno się zagoiła. — Basior zawiesił głos, zerkając na to, co zostało z jednej z jego tylnych łap i sięgało niedaleko za kolano. — Lepiej zresztą żyć bez stopy niż z wiecznymi wyrzutami sumienia. Prawda?

Mundus uśmiechnął się. Jeszcze raz objął wzrokiem opustoszały zagajnik, po czym nieśpiesznie skinął głową, jakby wciąż szukał w sobie przekonania.

Ruten tymczasem podreptał przed siebie. Gdy tylko głosy z tyłu ucichły, przystanął i rozejrzał się po tym dziwnym miejscu, które w jego oczach mogło zostać nazwane co najwyżej ruiną. Odłamane gałęzie rosnących wokół, karłowatych drzewek, wały się po piasku, z którego wyrastały kępy ostrej trawy. Bezlistne krzewy spletały się w ażurowe ściany, dające złudne przeświadczenie, że łatwo dostrzec to, co znajduje się po ich drugiej stronie. Wszystko to nadawało scenerii nieco mroczny charakter. Nieopodal leżało kilka stert kamieni będących pewnie pozostałością po jakiejś niedokończonej budowie. Jak na ironię, tak starannie ułożone, były chyba najbardziej harmonijnym elementem tej osobliwej przestrzeni. Na niektórych skałkach widać było bordowe zacieki.

Szedł przed siebie. Cymonia. Cymonia, w której płynęła podobna krew. Sporo minęło od ostatniego spotkania.

— Halo? — Z wahaniem zajrzał do jednej z kilku położonych blisko siebie jam wykopanych w ziemi. Ta wyglądała na najbardziej zadbaną, albo raczej na najmniej opuszczoną ze wszystkich. Ze środka wyjrzała szara wadera o szczyrych, choć niewielkich ślepiach.

— Ruten? To ty? Ruten! Jak cudnie cię widzieć, braciszku! Ile to już czasu minęło? — Skoczyła w jego kierunku z entuzjazmem, który w pierwszej chwili sparaliżował młodego wilka, nieprzygotowanego na takie powitanie.

— Tak, ciebie też... siostro. — Z wrażenia usiadł na ziemi, kładąc uszy po sobie.

Nie rozmawiali długo, bo i o czym? Oprócz wspólnych rodziców nic ich nie łączyło. Przeciętny obserwator nie mógłby pewnie zauważyć żadnych wyraźnych podobieństw nawet w ich wyglądzie. Cymonia była jak na wilczycę wysoka, szczupła, a jej oczy miały specyficzną, morską barwę, która brutalnie kontrastowała z gadzią żółcią ślepiów Rutena. Z jakiej dziwnej, genetycznej płataniny musiały wyłonić się takie różnice?

— A więc interesujesz się biologią? Jeśli chcesz, mogę pokazać ci jutro kogoś, kto też się tym zajmuje — rzekła wesoło. — Na pewno się dogadacie. Co prawda to nie mój pomysł, ale myślę, że jest świetny.

— Jeśli tylko będzie w stanie wyjaśnić mi, na czym polega świat... — wyluskał słowa spomiędzy myśli, niezdecydowany, czy w ogóle chce mówić. — Bo jeśli skończy się na bajkach i sentymentach, to szkoda mi nóg na taką wycieczkę — dodał donośniej.

— Rozchmurz się! Jestem pewna, że ci się spodoba. To twój typ wariata.

A jednak jej entuzjazm skutecznie zasiał w głowie samotnika ziarno nadziei na coś wielkiego.

Przespał się w jednej z nor na stepach. Nazajutrz razem udali się na Polanę Życia, na której już czekał Achpil, przyjaciel i nauczyciel Cymonii.

Młodemu wilkowi nowy znajomy wydał się niezwykle wartościowy. O wiele bardziej niż jego własny opiekun, który był tak zajęty swoim życiem, że z miłą chęcią przekazałby pieczę nad Rutenem choćby i samemu diabłu, a bordowy szczeniak by mu przytaknął. Bardziej nawet niż Mundus, który, choć zarzekał się, że odwiedza go tak często jak może, większość czasu spędzał wraz z alfą i żołnierzami, załatwiając jakieś nudne, urzędowe sprawy. Bardziej niż własna siostra, która przez cały czas nawijała o głupotach, jak wczorajsza wizyta u przyjaciółki, anegdoty o chabrze i bławatku lub upolowany tydzień wcześniej jelen, którego gałki oczne porastała sierść (no dobrze, to ostatnie akurat wydało mu się względnie interesujące).

Był przekonany, że dzięki Achpilowi może osiągnąć wymarzony poziom wiedzy, a że pragnął poznania świata jak łyku wody ze świętego kielicha, postanowił bez zbędnych wstępów opowiedzieć nowemu guru o swojej pasji do kości. Starszy basior wysłuchał jego obserwacji z najwyższą uwagą.

— No dobrze. Umiesz pisać? — Posadził Rutena pod ścianą, wręczając kartkę i papier. Uczeń pokręcił głową.

— W porządku, w twoim wieku mało kto umie. Żeby sięgnąć szczytu, trzeba wygrzebać się z doliny i wspiąć po zboczu. Od tego zaczniemy. Potem zajmujemy się obliczeniami. Tu masz gęsie pióro, z samego przedramienia. Ach, pewnie jeszcze nie wiesz, gdzie jest przedramię.

Ruten zawahał się, a następnie dotknął jedną łapą drugiej.

— Tutaj? — zapytał cicho. Jego nauczyciel uniósł brew.

— W rzeczy samej.

To powiedziawszy, nakreślił na papierze jakąś literę i nakazał basiorkowi przepisać ją dziesięć razy.

Potem następną.

I następną.

I następną.

W końcu zarządził przerwę, co młodzieniec przyjął z niewyobrażalną ulgą. Chwilę później, rozmasowując drżącą od tak precyzyjnego wysiłku łapę, słuchał wykładu z wilczej anatomii.

Kiedy dzień zaczął chylić się ku końcowi, Ruten miał wrażenie, że jego głowa lada chwila pęknie od nowych informacji. Trudno było mu jednoznacznie stwierdzić, czy powinien uznać to za dobry, czy zły znak.

Głęboki jak nigdy sen i noc pełna niezwykłych wizji szybko rozwiały jego wątpliwości. A gdy następnego ranka obudził się z poczuciem misji silniejszym niż kiedykolwiek, był już pewien, że rozpoczęcie nauki u tego enigmatycznego mentora było najlepszym, co spotkało go w życiu. Nie tracąc ani chwili, poszedł, a właściwie w podskokach pobiegł ścieżką, którą poprzedniego wieczora człapał w drugą stronę, marząc tylko o zapadnięciu w sen. Tego dnia ogłosił, że chce więcej.

Achpil odnalazł w bracie swojej przyjaciółki cennego ucznia. Szybko ocenił, jakie granice mają jego możliwości, i każdego dnia wykorzystywał je do ostatniego kawałeczka.

W wirze pracy Ruten nawet nie zorientował się, kiedy minęła jedna, potem druga faza Księżyca. Stopniały resztki śniegu w dolinie u podnóży gór.

Równie często rodzeństwo odwiedzało basiora wspólnie. Coraz częściej jednak nauczyciel zdawał się dziwnie zapominać o Cymonii. Wreszcie zamiast pobierać nauki, zaczęła służyć jako model do nauki anatomii prawidłowej.

— Popatrz — wykladał, uprzednio ustawivszy waderkę w pięknej, wystawowej pozycji. — Doskonale zbudowane ciało, aparat ruchu bez deformacji. Linia prosta poprowadzona od ziemi przez stopę przechodzi przez koniec kości kulszowej. Silne mięśnie i równoległe względem siebie śródstopia.

— To znaczy, że ja również mam w sobie coś z ideału. — Młody wilk wyprostował się, delikatnie łącząc na ziemi przednie łapy.

— Jesteś wyjątkowo typowy — Uczeń nie był pewien, czy lepiej poczytać to za wyraz uznania, czy za coś zupełnie odwrotnego. — Masz proste, silne łapy, muskularny grzbiet i długi ogon. Morfologia poprawna, proporcje zgodne z gatunkiem. Wyglądasz jak... wilk w czystej postaci.

Ruten zastrzygł uszami, dosłyszawszy w tych słowach coś więcej, niż chciał usłyszeć. Nie dopytywał jednak. Postanowił nie kłopotać swoich myśli niczym, co nie było równoznaczne z dowolną formą samorozwoju. A do takich zaliczał półsłówka sugerujące pochodzenie.

Cymonia tymczasem coraz później przychodziła na zajęcia i coraz rzadziej się na nich odzywała. Któregoś dnia przelała się jej czara goryczy.

— Nie podoba mi się, jak mnie traktujesz! — rzekła z żalem, kątem oka zerkając na braciszka, który nieopodal doskonalił swój kaligraficzny kunszt. Podczas nauki sprawiał wrażenie głuchego na wszystko, co działo się wokół. — Cały czas każesz mi tylko stać, pozować, obracasz mną jak jakąś figurką!

— Doprawdy? — odparł szorstko nauczyciel, wnet jednak złagodniał. — Jesteś moim największym dziełem, Cymonio. Żywym dowodem, że teoria przekłada się na praktykę. Nie ma tu nikogo, z kogo byłbym równie dumny.

— Ale to nie mnie wtajemniczasz w swoje plany... plany, które mnie niepokoją.

— Dziewczyńko. — Spojrzał jej prosto w oczy. — Jesteś cudem. Jesteś tym, czego szukałem przez całe życie. Każda komórka twojego ciała jest świadectwem moich odkryć. Jednak to Ruten jest moim następcą.

„Po co jej to mówisz?”, pomyślał wspomniany osobnik. „I tak nie zrozumie... To tylko obiekt, którym musimy odpowiednio pokierować. To tak, jakbyś tłumaczył chartowi, dlaczego biega szybciej od buldoga, zamiast zająć się rozwijaniem jego możliwości i wystawianiem do wyścigów”.

Młody wilk codziennie wracał ze stepów z głową dymiącą od nowych wiadomości. Tak upływały tygodnie. Całkowicie pochłonięty nauką, pograżał się coraz bardziej w swoim wewnętrznym, słabo oświetlonym świecie. Za każdym razem, gdy na chwilę musiał tę oazę spokoju opuścić, był zmuszony do mrużenia oczu coraz bardziej, by nie oślepnąć od światła, którego blask wydawał mu się tak denerwujący, jak nigdy wcześniej. Jeśli kiedyś miał wątpliwości, czy dobrym wyjściem będzie spędzenie reszty życia w mroku, pozbył się ich ostatecznie.

Nie musiał nawet kłopotać się chodzeniem do łowców po jedzenie. Cymonia postanowiła polować za nich dwoje; był przecież jej gościem. Po zajęciach przesiadywał więc w jej norze aż do kolacji, dbając o to, by być jak najdalej od śmiechów i chichów wadery oraz Ardyta, który często uczestniczył w posiłkach.

Już niemal codziennie odwiedzał Achpila, swój nowy wzór i pewnego rodzaju guru, które miało poprowadzić go ku oświeceniu niedostępnemu dla szarej masy, w jaką w oczach młodzika zlewały się pozostałe wilki. Podobnie jak osobniki wszystkich innych gatunków, nigdy bowiem jeszcze nie spotkał, oprócz nauczyciela oczywiście, istoty wartej uwagi, czymkolwiek by ona nie była. Nawet Mundus zszedł na drugi plan.

Długo zastanawiał się, czy może otworzyć przed nauczycielem wrota do swoich najskrytszych myśli. Lecz czy istniała bardziej odpowiednia osoba?

— Zastanawiam się, jak to jest zrobić coś, czego większość się boi.

— Jak na przykład? — Achpil skrzyżował łapy na piersi i łypnął na ucznia jednym okiem. Cienka gałązka wysunęła się ze szczenięcej łapy, nie dokończywszy dłubać linii w piasku. Ruten pozwolił jej wypaść i skupił się na pysku mentora. Każde drgnienie mogło podsunąć mu nowe rozwiązanie; pokazać drogowskaz na ścieżce do właściwych wniosków.

— Przestępstwo.

— Zależy od klasyfikacji przestępstwa. Któż z nas kiedyś się nad tym nie zastanawiał? — Młody wilk już napiął kark, gotów porozumiewawczo pokiwać głową. Już układał sobie w myślach mądrą przemowę. — Ale przestrzegam pana

naukowca przed rozprowadaniem o tym na prawo i lewo. Niektórzy nerwowo reagują na takie pomysły. Zaczynają wyobrażać sobie nie wiadomo co.

Szczeniak tylko opuścił wzrok na piasek i podniósł swoją gałązkę. Czego się spodziewał? Jakiejś złotej rady, gotowego planu? Widocznie w życiu nie bywa tak łatwo. Do pewnych rzeczy trzeba dojść samodzielnie.

Anatomia, anatomia, anatomia. Znał już na pamięć wszystkie najważniejsze nerwy w wilczym organizmie. A jednak tak dużo wciąż było przed nim. Tak wielu rzeczy jeszcze nie wiedział. Tyle długich księżyców, a być może lat i zim musiało minąć, by osiągnął mistrzostwo.

W tym miejscu należy się uważnym czytelnikom pewne wyjaśnienie. W naszej krainie od wiek wieków, jak dzieje dziejami, „rokiem” nazywano nie cztery pory roku, a jedynie dwie. Tak, dobrze słyszycie. Zaprawdę lata i zimy tak były długie, że święto Nowego Roku obchodzono zarówno pierwszego dnia zimy, jak i pierwszego dnia lata; miało to zapewne uspokoić rozhisteryzowane ciotki i utwierdzić je w przekonaniu, że ich krótkie życie może trwać dłużej, niż będzie to mieć miejsce w rzeczywistości. Każda zima i lato zdawały się trwać wieki.

Mistrzostwo Rutena, w przeciwieństwie do umiejętności czytania kalendarza, wymagało jednak nie tylko teorii. Z każdym dniem był bliżej naciśnięcia guzika uruchamiającego praktyczny wymiar wiedzy. Przed oczyma malowały mu się obrazy świetlanej przyszłości. Pracy, która pozwoliłaby przedrzeć się przez ciemną łatę niewiedzy, pokrywającą szczelnie każdy zakątek watahy. Tej zapadłej dziury, błotnistego dołka na niespełnione marzenia wszystkich jego znajomych i sąsiadów.

W przerwach między nauką kształtującą jego umysł, spacerował po lesie, aby rozwijać również ciało. Nie dbał o godzinę wędrówek. W każdej porze dnia dostrzegał coś pociągającego. Niekiedy celowo wybierał noc. Podczas takich wypraw parł przed siebie, kierunek kreśląc w myślach, pod wpływem chwili. Nierzadko docierał aż na tereny dwóch sąsiednich watah. Innym razem szedł na wschód i zatrzymywał się dopiero wśród oszałamiającego huku niespokojnych fal. Siadał wtedy na zimnym piachu morskiego brzegu i patrzył na ginącą w ciemności linię horyzontu, która stanowiła granicę jego świata; jak przypuszczał, jedyną, której nie potrafił przekroczyć.

Pewnego razu podczas takiej przechadzki znalazł się na terytorium Watahy Wielkich Nadziei: serdecznej sojuszniczki Chabrów z południa. Całkiem lubił odwiedzać tę społeczność. WWN była cicha i senna, sprawiała wrażenie, jakby wszyscy hałaśliwi mieszkańcy już zdążyli potopić się w leśnych mokradłach. Wiedział, że pałętanie się przy granicy nocną porą nie było rozsądne, ale czuł, że musi odprężyć się po wyjątkowo marnym występie na sprawdzanie z wilczego układu krążenia. O tej porze nie spodziewał się tam zastać nikogo wartego uwagi, co najwyżej kilku stróżów, których z łatwością można było niepostrzeżenie ominąć. Jeden z nich właśnie przesunął się jak duch gdzieś daleko, pomiędzy

drzewami. Mało nie przyprawił Rutena o zawał serca. Poza tym noc była spokojna i cicha. Wędrowiec wtopił się w nią na nowo i bezszelestnie pokłusował przed siebie.

Nagle obcy zapach uderzył go w nozdrza. W ciemności, tuż obok, dostrzegł zarysy drugiego osobnika. Choć nie wyglądały na zupełnie bezbronne, nie wzbudziły w nim poczucia zagrożenia. To dawało czytelną wskazówkę: miał przed sobą wilczycę. W pierwszym odruchu planował przemknąć obok i kontynuować spacer, lecz zatrzymały go ciche słowa.

— Chodź, chodź.

Odwrócił się gwałtownie i zmarszczył brwi. Wadera bynajmniej nie wyglądała, jakby gdzieś się śpieszyła czy potrzebowała pomocy. Ostrożnie podszedł bliżej, czujnie lustrując jej oblicze. Neurony zaczęły pracować na najwyższych obrotach. Nowe doświadczenie uderzyło w niego jak siekiera. Poczuł, jakby coś w środku się złamało.

Tak, to bez wątpienia była wadera. Miała w sobie pewien urok, choć nie był to wdzięk lekkiego motyla, a raczej siła zaklęta w kształtach. Solidnie zbudowana, stworzona nie do fruwania, lecz do przetrwania.

„Gdyby wszystkie nasze wilczyca były takie, gatunek mógłby być silniejszy”, przyszło mu do głowy, gdy przyglądał się bez krzty zakłopotania jej szerokim nadgarstkom i usiłował obliczyć ich obwód. „Jest trochę niższa ode mnie, będzie z dziesięć centymetrów, a więc trop nie szerszy niż osiem i pół centymetra... Palce rozstawione na zewnątrz, w takim razie... Nie, nie, nie, to wszystko bez sensu. Śródrezcze szersze tylko optycznie, węższe, niż mi się wydawało. Nic nadzwyczajnego”.

Znał ją. Wilczyca z jaskini, gdzie nocą dudniły niejednoznaczne krzyki i ciężkie westchnienia. Wiedział, że nocami krążą wokół niej basiory z wszystkich pobliskich watah, czasem nawet przynoszą w prezencie okazałe udźce z jeleni albo ludzkie błyskotki... ale nigdy się nad tym faktem nie zastanawiał.

Nigdy, aż do tej nocy, gdy sam stanął nosem w nos z mieszkanką zaczarowanej jaskini i zdał sobie sprawę, że stoi przed nim uosobienie tak zwanego upadku obyczajów.

Ponownie obrzucił ją chłodniejszym spojrzeniem i czekał biernie na rozwój wydarzeń. Zapamiętał to jako jeden, jedyny raz, kiedy pozwolił się życiu prowadzić, zamiast wydzierać mu swoją porcję wrażeń.

— Dokąd to zmierzamy o tak późnej porze? — zapytała, co wydało mu się niemal zuchwałe. Lekko przechylił głowę i sztywno machnął ogonem, podwijając go pod jedną z tylnych łap. Gdy wadera nie usłyszała odpowiedzi, uraczyła się nią sama. — W takim razie, samotny wędrowcze, cel twojej podróży najwyraźniej jest u nas. — Zaśmiała się perliście.

— O czym mowa? — Zajrzał twardo w oczy rozmówczyni. Ciemne, ze złotymi obwódkami wokół źrenic. Duże, kuszące i obdarzone długimi rzęsami.

— Strach chodzić samemu po nocy, nie?

— Nie, dlaczego? — zaprzeczył. — Mogę samemu spożytkować tlen, który w innym wypadku musiałbym dzielić z innymi. — Zdawało mu się, że popatrzyła na niego z zaskoczeniem, ale niczego nie powiedziała. Błyskawicznym ruchem owinęła swój nadgarstek wokół jego przedniej łapy i pociągnęła za sobą. Pomimo rażącej zniewagi, dreszcz przepłynął po muskularnej kończynie, a w głowie rozległo się natrętne pytanie: jak daleko można posunąć się w tak niecodziennych okolicznościach?

„Jeśli z taką ochotą wchodzimy w rolę, niczym komórki w wielkim organizmie, kim naprawdę jesteśmy? Jaki mechanizm nami rządzi? Komórka żyje nie dla własnego dobra, ale dla dobra organizmu. Dopóki jest potrzebna i wydolna, jest zasilana i utrzymywana przy życiu. Czyż wilki nie żyją poniekąd w myśl tej samej zasady? Utrzymują równowagę w społeczeństwie, dają mu coś i coś z niego czerpią, rozmnażają się, a gdy ich młode staną się na tyle silne, by je zastąpić, umierają. Co dzieje się z tymi, którzy wyłamują się z takiego systemu? Czy jest to w ogóle możliwe?”.

Postanowił odłożyć roztrząsanie wykrytych właśnie analogii na wolną chwilę. Miał ciekawsze rzeczy do roboty. Zyskał szansę, by zasmakować nieznanego.

Chwilę później byli już na miejscu. Niewielka jaskinia podzielona była na kilka drobnych pomieszczeń, jakby sama natura zadbała o odrobinę porządku w surowym schronieniu. Z wnętrza doszły go chichoty dwóch innych wader siedzących przy ognisku, które oświetlało całe pomieszczenie.

— Och, Peri, masz gościa! — zawołała wesoło cytrynowa piękność, na której futrze rozpryskiwały się ogniste refleksy. — A gdzie twój poprzedni przyjaciel? — Obie znowu zaczęły się śmiać, jakby właśnie opowiedziały najlepszy żart na całych wschodnich ziemiach. Ruten położył uszy po sobie i usiadł.

„Jaką funkcję w organizmie wilczego społeczeństwa pełnią właściwie takie komórki? Czy jeśli znajdują się poza prawem, to są w ogóle jego częścią, czy już tylko martwą wydaliną, z której nie da się niczego odzyskać i która powoli, lecz nieuchronnie, spływa do pęcherza? Każdy pęcherz ma swoją objętość. W końcu musi pozbyć się zbędnego balastu”.

— Nie przejmuj się nimi, wędrowcze. — Ta, która go przyprowadziła, demonstracyjnie wzruszyła ramionami. Och, był daleki od przejmowania się czymkolwiek. Wiedział, po co przyszedł i wiedział, z czym wyjdzie. Mniejsza o resztę. — Chodźmy już.

Zniknęli w ciemności, w innym segmencie groty. Trudno powiedzieć, co dokładnie się działo, gdy ich kroki ucichły. Fakt faktem, na samym końcu basiora naszły smutne refleksje krążące wokół nieodwracalności wyborów.

„Ona nie może zostać matką moich szczeniąt”, myślał, przenosząc wzrok, wcześniej sztywno wbity w skalne sklepienie, na chrapiącą obok wilczycę. „Nie mogę pozwolić, aby ktoś o tak słabych drogach oddechowych rozmnożył się

i posłał swoje geny w dalszy obieg. Ani nie zamierzam marnować swoich”. Wykrzywił pysk z najwyższą dezaprobatą, po czym odetchnął, zapadając się w sobie, jak ślimak chowający się w swojej skorupce. Na wycofanie się było już za późno. Achpil uczył go przecież, skąd biorą się szczenięta. A może jednak...?

Wtedy Ruten poczuł żądzę większą niż kiedykolwiek wcześniej. Oto prawdziwa okazja. Chciał dotknąć tej istoty, mocno, tak mocno, by poczuć jej puls w każdej opuszcze. Zgasić blask jej oczu.

Cicho przysunął się do wadery i jednym, gwałtownym ruchem chwycił ją za gardło. Kolejne chwile zaczęły umykać jego świadomości, wśród dominujących podczas niemej szarpaniny odruchów. Za każdym razem wysiłek drapieżcy chwytającego ofiarę wzmagał w nim zapamiętane powtarzane w myślach dwa, proste zdania. Działały jak zaklęcie, jak hasło, jak okrzyk bojowy.

„To wreszcie się dzieje. To naprawdę się dzieje”.

Żar uderzał w skronie, zmuszając go do zaciskania palców aż do bólu. Miał ochotę krzyczeć, ale pamięć podpowiadała mu, że nie może tego zrobić, jeśli nie chce spowodować kłopotów. Metaliczny smak wypełnił mu usta, a obraz rozmazywał się, gdy odpowiedź drugiego ciała zaczęła słabnąć. Na granicy wytrzymałości, marzył tylko o tym, by paść na ziemię, gdy to wszystko wreszcie się skończy. Na odwrót było już za późno. Łapy trzęsły mu się jak liście osiki.

Jasna luna napływała nad zakryty przez drzewa horyzont i karmiła spragnione światła oczy lekkim, matowym brzaskiem.

Otrząsnął się i wbił wzrok przed siebie, próbując powrócić pamięcią do poprzednich wydarzeń. Gdzie był, co robił? Przez chwilę stał jak zaczarowany. Dostrzegłszy, że prawdopodobnie nie ściga ani nie jest ścigany, odetchnął głęboko i celebrował pierwsze przejaśnienia, które pojawiły się na suficie z gałęzi drzew. Dobiegający z oddali pisk wreszcie skłonił jego ciało do ruchu; najpierw wolno, potem nieco szybciej. Oto jedna z przerażonych koleżanek towarzyszki poprzedniego wieczoru. Tej, której miękkie futro pamiętały jeszcze poduszki jego łap.

Zanim zdążą wybiec z jaskini, jego już dawno tam nie będzie. A może nie wybiegną wcale? Obie będą się bały? Zabawne. Nieprzewidywalne. Pociągające.

Rozdział 2

Oto Azair Ethal

Azair nie mógł pozbyć się wrażenia, że dzieje się coś niedobrego.

Był w podróży razem z Matką, która co chwila go poganiała, burcząc, żeby wykrzesał więcej z tych chuderlawych nózek. A on się starał, naprawdę. Wiedział, czym będzie grozić protest albo, co gorsza, zatrzymanie. Biegł więc ze wszystkich sił, żeby nie zgubić jej między drzewami.

Nie wiedział, czemu tak się spieszą. Dzień zaczął się zupełnie zwyczajnie (no, może dostał większe śniadanie niż zwykle, a to przecież powód do radości), a jednak im dalej w las, tym bardziej wariowała jego intuicja.

W końcu Matka zarządziła przerwę. Nie wyglądała na ani trochę zmęczoną, co Azy raczej nie dziwiło. Przyzwyczaił się do tego, że nic nie jest w stanie jej powalić. Sam za to upadł na trawę, ciężko łapiąc oddech.

— Musimy się pospieszyć — oznajmiła.

— Dlaczego właściwie biegniemy? — zapytał przepełniony nerwowym oczekiwaniem, ale zaraz tego pożałował. Gdyby oczy mogły rzucać gromy, on byłby już martwy.

— Znasz naszą zasadę. Nie zadawaj pytań — warknęła, po czym szturchnęła go łapą. — Wstawaj, idziemy.

Pomimo zmęczenia ani w głowie mu było się buntować. Podniósł się grzecznie, przetrzepał łebkiem, aż loki obity mu się o skroń, po czym zmusił ciało do zrobienia jeszcze jednego kroku. I jeszcze jednego...

Wszystko stało się pozornie szybko. Zanim się obejrzał, już byli na miejscu. Z całych sił starał się nie upaść, a Matka objęła go opiekuńczo. Maluch cały się spiął; każda jego kosteczka walczyła z niewidzialnym ciężarem strachu.

— No już, już nie będziemy biec. — Utkwiła wzrok w jednym punkcie i zeszytniała. Tylko jej zwiewna sierść wciąż falowała na delikatnym wietrze. Azair wyteżył wszystkie zmysły. O co mogło chodzić? — Ej, ty! — krzyknęła raptownie na burego basiora, który właśnie wyszedł spomiędzy drzew. — Gdzie jesteśmy?

— To tereny Watahy Srebrnego Chabra.

— Świetnie. Zaprowadź mnie do alfy. — Obcy, chyba tylko za sprawą szoku, spełnił jej życzenie. Zazwyczaj spotkania z wilkami z innych watah kończyły się szalonym galopem w przeciwnym kierunku, a raz nawet sprzeczką, po której rana na grzbiecie Matki jeszcze nie zdążyła się zagoić. Skąd w niej ta nagła śmiałość? Dreptał za nimi, usilnie się nad tym zastanawiając. Wilczyca nawet nie oglądała się, żeby sprawdzić, czy jest obecny. Mówił sobie, że ona po prostu wie, czy syn jest w pobliżu.

Ile w tym było prawdy, nie miał pojęcia; ale lubił to sobie powtarzać.

Aza nie został dopuszczony do rozmów z alfą watahy. Kiedy dorośli gawędzili, on szarpał zębami węzeł na białym grzbiecie, próbując uwolnić Kamyka, swoją przytulankę. Sznur nie ustępował, a szyja okazała się zbyt krótka. W końcu tylko fuknął pod nosem i odpuścił.

— Czyli... trzecia jaskinia na wschód?

— Owszem. — Alfa skinął głową. Rzucił im spojrzenie, które zdawało się przebijać na wskroś, a zarazem nie zatrzymywało się nigdzie. Potem odszedł.

— Chodź, Azair. Idziemy. — Wadera skinęła na potomka łapą i już była trzy kroki przed nim. Maluch bardzo chciał wiedzieć, gdzie idą, ale nie ośmielił się spytać. Na szczęście zaraz miał się dowiedzieć, bo stanęli przed wejściem do ponurej, skalnej pieczary. Pazury Matki zadźwięczały o kamień. Raz, drugi, trzeci. Echo krótko odbiło się w jaskini.

— Zero? — wypłuła imię, jakby było gorzkie. Szczeniak zerknął na nią pytającym wzrokiem, choć nie liczył na wyjaśnienia.

— Kto tam? — Z cienia wysunął się wysoki basior. Szczupły, potężny i majestatyczny. Ramiona miał chude, ale wyraźnie spięte; patrzył na nich, jakby zobaczył duchy.

— Zero... — westchnęła Matka, po czym odwróciła się do syna: — Zostań tutaj i nigdzie nie idź.

Aza posłusznie przysiadł na ziemi, a wadera odciągnęła nieznajomego na bok, by rzucać w niego gradem słów. Po jakimś czasie nie musiał nawet starać się podsłuchiwać, bo wymiana zdań stała się... trochę głośniejsza.

— Nie ma mowy, nie zostanie tutaj! — krzyknął Zero.

— Oczywiście, że zostanie! To też twoje dziecko! — Jej gniewne spojrzenie na moment skrzyżowało się z szeroko otwartymi oczyma małego. Z powrotem ściszyła głos.

Po czasie, który Azairowi wydał się wiecznością, Matka uśmiechnęła się zwycięsko i przywołała go łapą. Ruszył ku niej drobnymi kroczkami. Uszy miał przyklejone do czaszki, a jego oczy błędziły to po jednym, to po drugim dorosłym.

— Azair Ethal, to twój ojciec, Zero — oznajmiła, zachęcającym ruchem przysuwając szczenię bliżej do nowego wilka.

— Witaj — mruknął Ojciec.

— Zostaniesz z nim teraz — powiedziała i czule liznęła Azę, pozostawiając na jego czole uniesiony czubek z sierści. Gdy skierowała się do wyjścia, automatycznie ruszył za nią.

— Nie, ty zostajesz. — Wyciągnięta łapa nagle wylądowała tuż pod jego podbródkiem.

— Ale wrócisz? — wyszeptał. Nie doczekał się odpowiedzi.

Nowe życie przypadło Azairowi do gustu. Mógł wychodzić, kiedy chciał, byleby wracał przed zmrokiem, i dostawał do jedzenia tyle, na ile miał ochotę. Majestatyczny basior, będący jego Ojcem, mawiał, że musi nauczyć się samemu sobą zajmować. Kiedy dowiedział się, że przy zajęciach z nauczycielem rodzic musi uczestniczyć siedem czy osiem razy w księżycu, dokładnie tak się wyraził i dał synowi wolną łapę w organizowaniu sobie zajęć. Aza był mu za to niezmiernie wdzięczny. Jako że nie miał w watasze rówieśników, z którymi mógłby się bawić, oddawał się swojemu ulubionemu hobby: obserwowaniu.

Codziennie obierał sobie za cel innego wilka. Chodził za nim cały dzień, nasłuchiwał, co i jak mówi, z kim przebywa, co lubi. Wieczorami, gdy wracał do jaskini, opowiadał Kamykowi, czego się dowiedział. W cichości marzył, by podzielić się swoimi przygodami także z Ojcem, ale ostatecznie nigdy nie odważył się zakłócić jego spokoju szczenięcą paplaniną.

Po paru tygodniach znał już prawie każdego.

No właśnie, prawie każdego.

Był jeden osobnik, który stanowił dla Azy tajemnicę. Raczej zwyczajny w porównaniu z innymi. Z tego, co szczeniak zdążył zauważyć, nie miał żadnych mocy, ale kiedy szczeniak już przymierzał się do zagajenia rozmowy i tylko na chwilę odwracał wzrok, basior się ulatniał. Było to niezwykle irytujące. Należało położyć temu kres.

Malcowi szybko udało się dowiedzieć, jak nazywa się ów ekscentryk. Nie było to wcale takie trudne; wystarczyło zapytać pierwszą lepszą waderę, której imienia Azair nawet już nie pamiętał.

— Wiesz co, Kamyku? — zagadnął pewnego dnia. — Jutro na pewno dowiem się czegoś więcej o Rutenie. Na razie wiem tylko, że ma już za sobą jedną zimę, ma siostrę Cymonię i jest synem tego Wrotycza. Wiesz którego, opowiadałem ci, czego się o Wrotyczu dowiedziałem od innych. No i poza tym tak dziwnie się uśmiecha, jak z kimś rozmawia. I mówi w taki dziwny sposób. Obiecuję ci, Kamyku. — Wilczek teatralnie położył łapę na piersi. — Jutro będę wiedział o Rutenie wszystko!

Następnego dnia opuścił dom jeszcze przed świtem, licząc, że uda mu się złapać Rutena na polowaniu. Jutrzenka nie przyniosła mu jednak szczęścia. Natknął się tylko na Zawilca, alfę. Zawód dotknął go tak mocno, że zamiast dalej gonić za swoim celem, oddalił się od centrum watahy. Położył się na skraju ukrytej głęboko w lesie polanki, tuż przed wodospadem. To miejsce zawsze przynosiło mu ukojenie w trudniejszych chwilach, których do tej pory na szczęście nie było zbyt wiele. Oczy już mu się zamykały, gdy nagle go dostrzegł; samotna sylwetka wyłoniła się z porannej szarości. Wyglądało na to, że wyszedł na spacer bez wyraźnego celu.

Maluch skrył się w trawie. Napadło go dzikie podekscytowanie. Nareszcie!

„Oby tylko mnie nie zauważył”, pomyślał. Nie obawiał się już tego tak bardzo, jak na samym początku swojej przygody w Watasze Srebrnego Chabra. Nauczył się, że jeśli zostanie przyłapany, musi po prostu zacząć nawijać szczenięce bajeczki o wczorajszej pogodzie. Każdy się na to nabierał...

Zawsze go dziwiło, jak łatwo można było zagać rozmowę z tutejszymi wilkami. Przy Matce musiał obmyślać każde słowo przez pół dnia, żeby przypadkiem nie zebrać batów za jakąś głupotę. Tu wystarczyło parę komplementów i potrząsanie loczkami, żeby zyskać nowego znajomego.

Ciekawe, czy na Rutena też to zadziała?

Oto Ruten

Dla istoty rozumnej najważniejsze jest, by stale poruszać się naprzód. Jak zwykle późnym rankiem szedłem więc przed siebie, mijając prędko przesuwające się po obrębie pola widzenia pnie drzew i złane w całość, tańczące z wiatrem, gęste stosy jałowcowych gałęzi. W niektórych miejscach rosły jedne na drugich.

Zadbałem już o ilość ruchu wystarczającą, aby utrzymać ciało w dobrej formie, toteż zmierzałem w kierunku domu, aby zająć się obmyślaniem nowych planów. Irytowało mnie, że nie miałem jeszcze ani jednej okazji do wykorzystania tych, które już zagnieździły się w moim umyśle. Wymagały albo większej ilości czasu, którego w każdej chwili mogło mi zabraknąć, albo rozległych przygotowań. Miałem ich dużo i powracałem do nich z poczuciem nawarstwiania się kolejnych, coraz częściej, coraz bardziej nerwowo. Planowałem szybko znaleźć więcej sprzętu, trochę odczynników i zrobić przynajmniej... cokolwiek.

Wolnym klusem wbiegłem do swojej jaskini i usiadłem na ziemi. Palce świerzbiły mnie z braku zajęcia. Bieganie po suchym igliwiu było zbyt prostackie dla łap, które zdążyły już zasmakować gęsiego pióra. Wciąż jednak musiały pracować na mój cenny mózg, służyły więc wiernie za przydział tlenu i cukru. Tym razem rozładowałem napięcie, bezmyślnie drapiąc chłodny piasek pod ścianą. Postanowiłem chociaż popatrzeć i poprzekładać w palcach narzędzia. Czując, jak niezgrabne są moje ruchy, na chwilę zmusiłem się, by odsapnąć, oderwać przednie łapy od ziemi, spojrzeć na nie. Przekonałem się, że drżą z emocji, jakie zdążyła wytworzyć moja jaźń.

„Musisz nad nimi panować, Ruten. W ogóle, nad sobą”.

Kopałem dalej, aż wreszcie westchnąłem z ulgą, gdy moim oczom ukazały się pokryte pyłem, metalicznie połyskujące, miejscami nadrdzewiałe instrumenty. Nie było tego wiele. Mały i trochę większy nożyk, drobne szczypce, których sile nacisku do końca nie ufałem, kawałek sporego łańcuszka, który nie wiem, do czego mógłby się przydać, ale był ładny, jakaś szmatka znaleziona w lesie, cała w piachu i kurzu, oraz krótki pręt z zaostrzonym końcem, przypominający trochę przymały rożen.

Ten arsenał zgromadziłem na własną łapę. Gdzieś dalej, w mroczniejszych zakamarkach jaskini, były ukryte jeszcze drobne pomoce, których sam zdobyć nie mogłem; ale Achpil mógł. To on podarował mi moją pierwszą, prawdziwą, szklaną strzykawkę. Kazał mi pilnie ćwiczyć trzymanie jej w łapach, pilnować jak oka w głowie i używać tylko w naprawdę poważnych sytuacjach. Kilka środków, którymi mogłem napęlić ją po odpowiednim rozcieńczeniu, miało służyć przede wszystkim za zachętę do wprawiania palców w uczciwy ruch. Robiłem to codziennie, choć na razie tylko na sucho.

Podnosiłem po kolei każde z narzędzi, z namaszczeniem przesuwając palcami po gładkiej powierzchni. Wszystkie, oprócz jednego z noży, który miał drewniany trzonek (i rzecz jasna szmatki), były w całości metalowe.

Wtem nerwowy dreszcz przeszył mój kark. Miałem dziwne, niewytłumaczalne wrażenie, że ktoś czyha przed jaskinią. Wstałem, powoli spuściwszy głowę. Byłem pewien, że ktokolwiek to jest, nie ma mnie w zasięgu wzroku, bo przede mną, pomiędzy drzewami, nikogo być nie mogło. A więc stał za jedną ze ścian jaskini. To dawało mi pewną... nie, tylko pozorną przewagę. Jak miałem stamtąd wyjść...?

Wypadłem na zewnątrz, spięty jak sprężyna, gotowa rozprężyć się i rzucić w każdą stronę. Zrobiłem błyskawiczny półobrót, lewo, prawo, próbując zlokalizować napastnika. Zobaczyłem go niemal od razu, choć nie tego się spodziewałem. To dziecko? Jakiś szczeniak?

Schowałem kły, ale oczy same dalej omiały las, niepewne, czy nie kryje się w nim ktoś jeszcze. To mogła być idealna pułapka.

Potrząsnąłem głową. Skąd ta podejrzliwość? Nie byłem przecież ofiarą, która musi chować się przed drapieżnikiem, ani żadnym złoczyńcą... I nikt mnie chyba za takiego nie uważał.

Niedoszły napastnik był w zasadzie zupełnie zwyczajnym, podrośniętym, białym szczeniakiem. Nic w jego wyglądzie nie zwracało uwagi, poza oczami bez źrenic, równie białymi jak sierść. Choćbym nie wiem jak długo się w nie wpatrywał, nie potrafiłem przyporządkować tego, co widziałem, do żadnej znanej mi jednostki chorobowej, oprócz całkowitej ślepoty. A ten szkrab bynajmniej nie wyglądał na ślepego.

— To ty? — Zdecydowałem się zapytać wprost, bardziej, jakbym sprawdzał hipotezę, niż się witał. Przybysz zawahał się i rozejrzał dyskretnie. Usiadłem na ziemi, aby nie płoszyć go agresywną postawą.

— Azair Ethal, miło mi. — Zdawało mi się, że po jego pyszczku szybko przebiegł uśmiech. — Chociaż wolałbym skrót, na przykład Azair albo Aza, jeśli to nie kłopot...

— Ruten — rzuciłem, przyjmując, że nie jestem jeszcze na tyle dojrzały, by wymagać od młodzieży mówienia do siebie per „pan”.

— Przechodziłem akurat i tak sobie pomyślałem, że porozmawiam z kimś, kogo jeszcze nie miałem przyjemności spotkać.

— Świetnie, a więc eksperyment towarzyski padł akurat na mnie? — Poczułem, jak nadmiar powietrza w płucach stopniowo je opuszcza, dając ulgę naprężonym wcześniej żebrom. W odpowiedzi ten mały bałwanek uśmiechnął się jeszcze szerzej. Całym sobą dawał znać, że spotkanie ze mną rzeczywiście jest przyjemnością.

— Teraz się znamy, zapraszam do środka. — Kiwnąłem głową w kierunku mojej siedziby. Być może zapraszanie obcych szczeniąt do swojego domu przez samotne basiory mogło być uznane za zachowanie należące do grona podejrzanych, jednak w tamtej chwili miałem to w poważaniu. Nie wpadłem na lepszy pomysł.

W głębi duszy, gdy spotkałem tego dzieciaka, zapragnąłem chociaż trochę, chociaż na chwilę wydać się stabilnym, przyjaznym i bezpiecznym. Nie wiedziałem do końca, po co. Po prostu miałem taki kaprys. Możliwe, że kierowałem się potrzebą zyskania jakiejś opinii w oczach watahy, bo na razie była albo dość marna, albo nijaka. A ten szczeniak mógł opowiedzieć swoim bliskim lub przyjaciółom o dobrym wujku Rutenie. Dobrym wujku Rutenie, którego wszyscy znają i lubią. Tak, to by mogło ułatwić pracę w przyszłości. Czyż to nie przebiegle?

To znowu Azair

Jak można było się spodziewać, szczeniak został przyłapany na obserwacji, i, czego również można było się spodziewać, po raz kolejny został przyjęty z otwartymi łapami.

„Dziwne”, pomyślał. „Jak łatwo można manipulować niektórymi dorosłymi”. Wystarczy ładnie się uśmiechnąć i mówić kompletnie głupoty, byleby nawijać...

Gdy Ruten zaproponował wejście do jaskini, malec zgodził się natychmiast. Gdyby był dobrze wychowanym szczeniakiem, zapewne w jego głowie zapaliłaby się ostrzegawcza lampka. Wszak, halo, nie powinno się nigdy zostawać sam na sam z nieznanymi, bo to się zwykle źle kończy dla małych dzieci, które potem resztę życia zmagają się z traumami, jeśli oczywiście przeżyją spotkanie. Jednak ani Matka, ani Ojciec nigdy nie przeprowadzili odpowiedniej rozmowy z Azą. Wystarczyło, że był grzeczny, a za dobre sprawowanie mógł chodzić, dokąd chciał. Na dłuższą metę było to zdecydowanie niewychowawcze, ale, jak widać, dotychczas nie skończyło się źle. Dotychczas...

Azair rozczarował się wnętrzem jaskini bordowego basiora. Nie wiedział do końca, czego się tak właściwie spodziewał, ale cztery ściany tajemniczego przyjaciela wydawały się... prozaicznie konwencjonalne. Liczył na coś więcej, chociaż nie potrafił tego sprecyzować.

Może na jakieś kolorowe kryształki. Szamańskie maski na ołtarzu. Haftowane gobeliny (choć, tak szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, czym są haftowane

gobeliny; usłyszał to określenie raz, gdy podsłuchiwał rozmowę z jaskini wojskowej). Ale zaraz...

Uwagę małego przykuły dziwne przedmioty leżące na ziemi. Chciał je samodzielnie zbadać, więc zwrócił błagalne spojrzenie na Rutena, który jednak wciąż milczał. Przekreślił więc główkę najbardziej uroczo, jak tylko umiał i zapytał:

— Co to jest? — Wskazał na metalowe instrumenty. Szczerze mówiąc, rzadko się zdarzało, żeby ktoś inny niż Matka skarcił go za ciekawość. Mimo to łapka zawisła w pół gestu, a głowa opadła lekko. Spod rzęs posłał dorosłemu czujne spojrzenie, przygotowany na rychłą naganę. Nie doczekawszy się jej, przywołał na pysk nieśmiały uśmiech.

— Takie różne — odparł wymijająco basior, ale po chwili zabrał się do udzielania wyjaśnienia. — Narzędzia. Te tutaj to ostrza do cięcia, erm... tam szczypce, pręt kalibrowany, łańcuszek... W zasadzie nie wiem, po co mi on, ale jest ładny. — W tym momencie Azair zachichotał cicho. — No i szmatka.

— Ciekawe. A może... mógłbym dotknąć? — spytał grzecznie.

— Dobrze. Tylko się nie pokalecz. Metal nie zna litości.

Mały pacnął łapką pręt. Gdy przekonał się, że stwór nie gryzie, przybliżył do niego nos i powąchał. Pierwsze skrzypce grał zdecydowanie zapach wilgotnej ziemi. Na drugim miejscu plasowała się metaliczna woń. Po kolei obwąchał i obejrzał eksponaty, a nie dowiedziawszy się w ten sposób niczego nowego, wyprostował się i oznajmił zwięźle:

— Fajne. — Po czym wrócił na swoje miejsce i usiadł naprzeciwko nowego znajomego.

Nic się nie wydarzyło. Zapadła cisza. Azair rozsiadł się w niej jak w ulubionym kocu. Chłonał nowego znajomego oczyma, zapamiętując każdy szczegół jego sylwetki, żeby móc potem dobrze opisać wilka Kamykowi.

W końcu zaczęło mu być niezręcznie. Matka uczyła go, że odzywanie się pierwszym jest niedopuszczalne, ale dopóki jej tu nie ma, nie może go zobaczyć, prawda?

— Jak długo pan tu jest? — zapytał w końcu, gdy uznał, że napatrzył się już wystarczająco. Miał nadzieję, że wcześniej również zwracał się do rozmówcy per „pan”. Nie chciał być niekulturalny.

— Urodziłem się tutaj — odparł Ruten. Szczeniak kiwnął głową, starając się udawać, że wcześniej o tym nie wiedział. Chciał tylko zacząć rozmowę od czegoś łatwego, żeby potem, rozkręcając się, zadać trudniejsze pytania.

— Nie czuje się pan samotny? Nie jest panu smutno, tak... samemu? — kontynuował w nadziei, że się nie pomylił. Za późno zorientował się, że przypadkiem zasugerował, iż już go obserwował. Basior tylko uśmiechnął się tajemniczo i przeniósł uwagę małego z powrotem na narzędzia. Pod nosem rzucił jeszcze, że to są jego najlepsi przyjaciele.

Rozmowa płynęła wartkim nurtem, a Aza co chwilę zadzierał łebek, błyszcząc oczami jak adept dopuszczony do największej tajemnicy świata. Nie spodziewał się, że Ruten tak łatwo uchyli przed nim drzwi do własnych myśli. W jego towarzystwie czuł się tak swobodnie, że nie zauważył, kiedy cienie wypełzły spomiędzy drzew. Gdy spostrzegł, że słoneczna kula skryła się wśród konarów, zerwał się na równe nogi. Dopadł go strach przed spóźnieniem.

— Ja pana bardzo przepraszam, ale muszę zmykać. Będę jutro, dobrze? — Nie czekając na reakcję, wybiegł na zewnątrz. Kamienie iskrzyły pod jego pazurami, a w głowie kołatała jedna myśl: byle zdążyć przed ostatnim błyskiem słońca.

Los chyba mu sprzyjał, bo istotnie zdążył i nie otrzymał reprimendy. Zjadł kolację, po czym usadowił się w swoim kącie i zaczął po cichu opowiadać Kamykowi, co go spotkało. Zero nie zwracał na jego szepty najmniejszej uwagi; zdążył się już przyzwyczaić do tych niegroźnych dziwactw. Rzucił tylko suche „dobranoc” i poszedł spać.

Po jakimś czasie Aza również się położył, tuląc do siebie Kamyka. Długo nie mógł zasnąć, podniecony wizjami ostrych skalpeli i prętów, którymi precyzyjnie oddzielał od siebie sklezione płatki stokrotki.

A to ogół wydarzeń

Jeszcze przez krótką chwilę Ruten słuchał, jak drobne krocзки uciekają ku wieczornej ciszy. W gardle zakłuło pytanie, czy to przypadkiem nie jego słowa przyspieszyły ten nerwowy rytm, ale zbył je machnięciem łapy. Sprawa miała wyjaśnić się sama, następnego dnia.

Osiągnąwszy pełnoletniość, basior niczym młody orzeł wyfrunął spod skrzydeł swojego nauczyciela, Achpila, by zdobyć doświadczenie na własną łapę. Wreszcie mógł pozwolić sobie na pozbawione wyrzutów sumienia nocne wędrówki i wstawanie wtedy, kiedy chciał. Paradoksalnie, nocna bezczynność bywała męcząca. Wyostrzała zmysły. Przyspieszała rytm serca. Budziła wspomnienia, lęki, wszystkie wariactwa, za dnia zepchnięte na ugory umysłu. Właśnie dlatego tak lubił spędzać godziny mroku i głuszy w ciągłym ruchu. Udawał, że sen nie ma nad nim władzy, dopóki w środku nocy, a może już bliżej poranka, słowik nie zagłuszy jego myśli. Wtedy padał bez życia na posłanie, którym był mało okazały dołek wykopany w pylastym piachu.

„Jeśli on nie boi się śpiewać tuż, tuż, na skraju lasu, to znaczy, że nic nie może zcaić się w pobliżu”, myślał, a potem powoli odpływał ku bezpiecznej nicości.

Tego dnia jednak, choć słowik nie zaczął jeszcze swojego koncertu, nadeszło wyjątkowe zmęczenie. Nie nawykł do długich rozmów. Każda interakcja z niższymi istotami wyczerpywała go okrutnie, postanowił więc, w nagrodę za tak bohatercko spędzony czas, skierować się od razu na legowisko. Opadł na nie i westchnął głęboko, przymykając oczy.

Nagle gwałtownie otworzył je znowu i wbił wzrok w połyskujące w ciemności przyrządy. Nadal leżały w tym samym miejscu. Cóż, dziwne, gdyby było inaczej. Jego źrenice rozszerzyły się, być może od kładącego się wokół pokotem cienia, a być może przez nasilone procesy myślowe. Powoli obrócił się na grzbiet.

„Nie muszę dbać o to, co powiem temu szczeniakowi i jak mocno wtajemniczę go w swoją pracę”, myślał. „W każdej chwili mogę wykonać... jeden ruch. Nie uciekłby...”.

Machnął tylnymi łapami niczym mucha uderzona końskim ogonem i znów wylądował na boku. Przez chwilę leżał tak, wstrzymując oddech i wpatrując się w wyjście z groty, jakby wciąż chciał odnaleźć tam kogoś, kto obserwuje go i słyszy każdą jego myśl. Na zewnątrz było jednak zupełnie cicho i ciemno. Ciekawe, czy Azair zdążył już dotrzeć do domu.

Czyżby się nim przejmował? Uśmiechnął się kpiąco, drwiąc z samego siebie.

„Może jutro przyjdzie znów, a jeśli nie... nawet nie będzie mi tego szkoda... Chociaż nie. Trochę będzie. Ten szczeniak mógłby się przydać”.

Ciemność rozdarła złota wstęga, rozprzestrzeniając wokół ciała Rutena życiodajne ciepło. Przed oczyma zaczęły malować mu się żółte i beżowe plamy, migoczące w ostrym świetle niczym oszlifowane diamenty. Zamrugął, żeby przywrócić im kształty i zorientował się, że stoi nieopodal swojej jaskini, na górskim zboczu, a jego wzrok spoczywa pomiędzy przednimi łapami, na białym od słonecznych promieni piasku wydeptanej ścieżki. Wokół nie było żywej duszy. Ogarniające go oszołomienie mieszało się z ukłuciem czystej beztroski. Oto wstąpił na szczyty, jakby stanął u progu samych Niebios. Jeszcze przez chwilę bezskutecznie próbował przypomnieć sobie, kiedy i jak znalazł się w tym miejscu, a im dłużej myślał, tym szybciej mijała beztroska, której dotyk był stopniowo zastępowany przez niepokój, uwierający jak pamięć o cieniutkiej igle, naraz przystawionej i odsuniętej od ciała.

Przerwały mu zbliżające się kroki Azaira, które świadczyły o nadejściu poranka. Zapach świeżej wilgoci, który wypełniał nozdrza przy każdym wdechu, potwierdzał ten wniosek.

— Dzień dobry! — zawołał grzecznie szczeniak.

— Dobry, dobry — mruknął Ruten.

— Piękny mamy dziś dzień, nieprawdaż?

— Taaak... Słońce piłuje po oczach.

W obliczu nowego wyzwania, jakim był młody worek pytań, odłożył rozmyślanie nad swoją „teleportacją” na bliżej nieokreśloną przyszłość. Spacerem wrócili do jego jaskini. Pierwsze chwile upłynęły im na niezbyt emocjonującej rozmowie. Te wspólnotowe ceregiele zawsze go nudziły, ale czekał cierpliwie na odpowiedni moment, żeby przestać bawić się w przedszkolankę i zacząć

wartościowy dialog. Już poprzedniego dnia odniósł dziwne wrażenie, że może temu szczeniakowi zaufać; tylko do pewnego stopnia, oczywiście.

— Podobają ci się te narzędzia? — Skinął pyskiem w stronę metalowych przedmiotów. Leżały na środku jaskini, tak, jak je zostawił. Malec skinął głową, choć bardziej z uprzejmości niż z przekonania. Ruten uznał, że prawdziwy żar rozpali się w nim, jak tylko przejdą do praktyki. — Wiesz, do czego służą? — Tym razem Azair zastygł w bezruchu i milczał, aż wreszcie pokręcił przecząco głową. Basior westchnął. Mógł się tego spodziewać. — To aparatura do czynności badawczych. Interesujesz się może trochę... nauką?

I znowu Azair, czy to jakiś znak?

Poranek Azy zaczął się zupełnie zwyczajnie. Zamiast podreptać do ochłapu mięsa w kacie, wyszedł na zewnątrz, by napełnić sobie żołądek słodkimi jagodami i korzonkami. Znalazł ich obfitość niedaleko jaskini już pierwszego dnia w WSC. Było to bardzo wygodne, gdy się gdzieś śpieszył. W dodatku owoce były zawsze świeże, a nie spleśniałe jak truchło od tygodnia leżące w jaskini.

— Na pewno nie chcesz jeszcze czegoś do jedzenia? — zapytał Ojciec bezbarwnym tonem, gdy szczeniak wrócił.

— Nie, tyle wystarczy, dziękuję — odparł. Już miał wyjść, gdy zatrzymał się w pół kroku. W głowie zaświtała mu pewna myśl. — Um... Ojczy?

— Tak?

Nagle cała jego odwaga wyparowała. To nie tak, że nie chciał wiedzieć, gdzie jego opiekun będzie cały dzień. Uznał po prostu, że i tak nie otrzyma odpowiedzi. Matka przyzwyczaiła go, że rodzice nie odpowiadają na pytania swoich dzieci, a poza tym to, czym Ojciec będzie się zajmował, nie jest sprawą Azy.

— Już nic, przepraszam. — Maluch spuścił wzrok. — Do widzenia, Ojczy.

— Do widzenia — odparł cicho Zero, z nutką śmiechu.

Szczeniak tymczasem wyszedł na zewnątrz. Wiedząc, że prawdopodobnie cały dzień spędzi z Rutenem, postanowił o świcie poobserwować jeszcze jakiegoś innego wilka, żeby przypadkiem nie wyjść z wprawy. Tym razem za cel obrał sobie miejscową medyk. Wadera zanurzyła nos w jakichś papierach i pewnie długo musiałby czekać, żeby zrobiła coś interesującego. Nie minęło wiele czasu, zanim porzucił obserwację i wyruszył ku jaskini ekscentryka. A może po prostu nie mógł powstrzymać myśli, które na złamanie karku biegły już w góry. Doskonale pamiętał drogę; kiedyś, gdy zgubili się na bagnach podczas podróży razem z Matką, to on wyprowadził ich na skraj zwodniczego lądu.

Wszystko układało się wspólnie, do czasu, gdy bordowy basior zapytał go, czy interesuje się nauką. To, wbrew pozorom, trudne pytanie sprawiło, że zawahał się na moment. Czy interesował się nauką? Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

— Zależy jaką... — odparł wymijająco. Jego umysł dalej pracował na najwyższych obrotach. Co odpowiedzieć, żeby nie wyjść na ignoranta ani na idiotę? Kontakt z innymi bywa jednak pełen niespodzianek. Azair poczuł przemożną chęć przytulenia Kamyka.

— Na przykład biologią — zasugerował Ruten.

Zapadło milczenie, ponieważ Aza zwyczajnie nie wiedział, co powiedzieć. Owszem, ciekawiło go, jak funkcjonują wilki, ale bardziej na płaszczyźnie socjologicznej, niżli budowy organizmu; nie wspominając już o przyrodzie, której kompletnie nie chwycił.

— Interesuję się wilkami — oznajmił w końcu. — Jak działają i w ogóle...

Nagle opanowały go wyrzuty sumienia. Wyraził się tak, jakby inni byli zwykłymi maszynami, przedmiotami, które lubił obserwować. Mógł inaczej ubrać to w słowa... Gdyby znał jakieś przekleństwa, na pewno powtórzyłby jedno w duchu. Niestety pod względem wulgaryzmów jego słownictwo było niezwykle ubogie: zawsze ostro go strofowano, gdy ich używał, nauczył się więc unikać takiego sposobu wyrażania emocji. Ten wilk jednak nie wyglądał na przerażonego sensem wypowiedzi Azaira. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby go to podnieciło.

— Kontynuuj... — zachęcił go, uśmiechając się kącikiem warg.

— C... co i jak mówią, jak się zachowują, jak chodzą, jak się zaprzyjaźniają, dobierają w pary... Takie tam... — Aza znienawidził się za niepewność w głosie. Bał się krytyki, a z drugiej strony podświadomie czuł, że od tego basiora się jej nie doczeka. Jednak, jak to mówią, „Przezorny zawsze ubezpieczony”, czy jakoś tak. Usłyszał ten zwrot dosyć dawno.

Ruten nie odpowiedział. Wstał, tylko po to, by musnąć łapą każde narzędzie, jedno po drugim, jakby szukał w nich odpowiedzi na mamrotane pod nosem pytania, których Azair nie mógł dosłyszeć. Nie śmiał ruszyć się ze swojego miejsca bez pozwolenia, lecz jakoś musiał dać upust ciekawskiej naturze, która łączy wszystkie młode stworzenia.

— Co pan robi?

I znowu ogół wydarzeń

Było to bez wątpienia jedno z ulubionych pytań szczeniaka. Ruten zmarszczył brwi, jeszcze raz skanując wzrokiem narzędzia. Czy żadnego nie brakuje, czy wszystkie nity są na miejscu. Całość wyglądała równie stabilnie, jak wcześniej. Lekko podniósł łeb i odparł:

— Zastanawiam się.

— Nad... nad czym, jeśli mogę zapytać? — odparł Aza po kilku sekundach niepewnej ciszy.

— Nad tobą. Mówisz, że interesuje cię etologia. Nauka o zachowaniu zwierząt. — Nogi przybliżyły go do siedzącego w kąciku gościa. Pomimo swojego wieku nie był wybitnym chuchrem, co podobało się Rutenowi.

Szybko jednak zatrzymał ten ciąg myślowy, aby nie zacząć żałować decyzji, którą podjął poprzedniego wieczora. Nie chodziło już przecież o rozkrojenie tego malca. Nie to miał w planach. Nie spuszczał ze szczeniaka wzroku, w akcie ważenia proporcji jego sił i słabości.

— Ciekawi cię to, tak? Spróbuję... ci pomóc. Przede wszystkim, musisz nauczyć się pisać. Ale na to mamy dużo czasu. Będiesz pomagać mi w sporządzaniu notatek. No i musimy poczekać jeszcze na kogoś, kto zajmie się tym, do czego ja... na razie nie mam kompetencji. A tymczasem, póki go tu nie ma i nie zapowiada się na to, by dziś przyszedł, pokażę ci coś innego. Tak, to coś, w czym jestem niezły. — To powiedziawszy, na moment wrócił do swoich przyrządów i podniósł mały, metalowy nożyk, uprzednio sprawdzając, czy jest w stanie stabilnie utrzymać go między palcami. Okazało się to stosunkowo łatwe.

Tym razem, wyruszając na polowanie, zamiast węszyć i krążyć po lesie, niczym surykatki wpatrywali się w niebo. W drodze starszy kolega rozwodził się nad tajnikami wybierania odpowiedniego miejsca, gdzie niektóre ptaki odpoczywają nisko nad ziemią, a gęste gałęzie nie krępują wilczych ruchów. Drepczący obok niego Azair zawzięcie kiwał łebkiem. Zatrzymali się przed jakimś spróchniałym pniem powalonej przez wicher sosny. W jej gałęziach wrzało sielankowe życie, a przeróżnego rodzaju ptactwo na cały głos sławiło piękną pogodę i wszystkie siły natury. Pozostało tylko czekać.

Było już późne popołudnie, gdy jedna z sierpówek ranna spadła na ziemię. Jej kremowe pióra mieszały się ze światłem i krwią, ciesząc oko obrazem wygranej. Starszy wilk, idąc za ciosem poprzedniego, celnego manewru, błyskawicznie zacisnął szczęki na opierzonym ciele i zaczął bez opamiętania szarpać na wszystkie strony. Białe kły stopniowo pokrywały się czerwienią. Kości zatrzęszczały, a pióra posypały się na jego sierść. Krople krwi ginęły w bordzie futra.

Droga powrotna minęła w milczeniu.

— Teraz popatrz. — Ruten chwycił mniejszy z dwóch noży leżących na stosie narzędzi i podszedł do dużego, płaskiego głazu, który stał przy jednej ze ścian jaskini. Położył martwego ptaka na kamieniu z powagą godną posiadacza prawdziwego skarbu. — Podejdź tu, Azair. Boisz się czegoś? — odezwał się przykładowie miłym tonem. — Tnij wzdłuż mostka — polecił, po czym podał szczenięciu lancet.

Młodziak zastygł, wpatrując się w nieruchome ciało ptaka. Już wcześniej ustalili, że na posiłek było to stanowczo za mało, a tu taka niespodzianka.

Pomysł pokrojenia ptaka dziwnym przyrządem, nawet bez konieczności posmakowania go, był dla Azy intrygujący. Czuł zapach mięsa, ale nie mógł go

zjeść, bo było przeznaczone do czego innego. Właściwie... nie musiał go jeść. Nie było obok Matki, która wcisnęłaby mu do pyska wyborne danie co do ostatniego kawałeczka. Mimo to dalej stał z nożykiem w bezruchu, jakby zapuścił przy głazie korzenie.

— Co jest? — Basior odwzajemnił spojrzenie. Odpowiedziała mu tylko cisza.

Gdyby wilki potrafiły się rumienić, malec byłby zapewne czerwony jak rak. Nie wiedział, gdzie znajduje się mostek; nikt nigdy nie uczył go anatomii. Bał się przyznać do niewiedzy, jako że zwykle zbierał za nią baty. Popatrzył więc wyczekująco, modląc się w duchu, aby Ruten zrozumiał i na początku trochę go poinstruował.

„No dalej, domyśl się. Nie każ mi tego mówić na głos!”.

Gdy jednak dorosły okazał się nieczuły na jego mentalne prośby, tylko spuścił głowę i wymamrotał coś brzmiącego podobnie do: „Ngh... umj... wiem... gdzie... mostk...”.

— Dzieciaku, wysłów się wreszcie — powiedział jego znajomy z lekko poirytowanym, ale zachęcającym wyrazem pyska.

— Ja... Nie wiem, gdzie jest mostek proszę pana... Ani jak przeciąć wzdłużnego... — zamruczało w końcu szczenię, na jednym wdechu. Ruten na szczęście uchwycił sens bełkotu szybciej, niż Azair zdążył pożałować słów. Westchnął przeciągle; zamiast gniewu w głosie pobrzmiwała wątpliwa cierpliwość.

— Pokażę ci. — Ujął nóż i wbił go delikatnie w skórę, nieco pod ptasim gardłem. — To punkt orientacyjny, widzisz? Tu, gdzie jest ta kość.

— Dobrze — odparł Aza i przejął nożyk, po czym powoli, najbardziej precyzyjnie, jak potrafił, rozciął różową powłokę na truchle. Linia biegła co prawda krzywo, ale był z niej zadowolony. Zerknął na basiora w poszukiwaniu komentarza, a ten kiwnął łebkiem.

— Zadowolająco.

— Co teraz, proszę pana? — spytał szczeniak, podbudowany swoim drobnym sukcesem.

— Połam kilka żeber, cztery albo pięć.

— Jakoś konkretnie mam to zrobić, proszę pana? Czy tak po prostu? — Tym razem malec nie bał się zapytać; wiedział już, że nie zostanie przez basiora upomniany.

— Tak, żeby nie uszkodzić organów wewnętrznych — sprostował i zaprezentował zręcznie, jak powinno zostać to wykonane.

Azair złamał w ten sposób jeszcze cztery żebra, brudząc łapki krwią. Zlizał ją niepostrzeżenie i obserwował, jak starszy wilk zastanawia się nad dalszymi krokami.

— Teraz wytnij serce. Tylko ostrożnie, żeby go nie pokiereszować — mruknął, oddając mu nożyk.

Szczeniak zaczął od przyjrzenia się małemu organowi. Nie pompował już krwi, więc był całkowicie bezużyteczny. Aza prychnął w duchu i zabrał się za przecinanie tych dziwnych sznureczków, za pomocą których serce było połączone z resztą organizmu. W międzyczasie Ruten wykladał mu podstawowe informacje z anatomii.

— To, co teraz przecinasz, to aorta... Oplatają ją cieniutkie nerwy. U tego gołąbka prawy łuk aorty transportuje krew z serca do krążenia ogólnego, czyli większości innych narządów. To inaczej niż u nas, ssaków, gdzie lewy łuk pełni tę funkcję.

Azair starał się to wszystko zapamiętać, jednocześnie manewrując całym ciałem tak, żeby uniknąć poplamienia się jeszcze większą ilością krwi. Na jego białej sierści wyglądała koszmarnie.

Na bordowym pysku natomiast powiększał się cień zadowolenia. Malec postawił pierwszy krok na drodze do światła. Pokazał, że stać go na więcej niż bycie tłem opowieści i może triumfalnie wyjść z roli bezrozumnego dzieciaka-statysty, podobnego do tych, które nauczyciel pamiętał z własnego, wcale jeszcze nieodległego dzieciństwa. Gdy biel loczków bujnej kryzy zmieszała się z dostojną czerwienią posoki, zobaczył w Azie prawdziwego ucznia. Od tej chwili szybko instruował go i dopowiadał to i owo, gdy tylko mały dotknął lub spojrzał na coś, o czym miał zamiar powiedzieć.

— Popatrz jeszcze raz na mostek... — mówił. — Ten u ptaka jest inny niż nasz, wilczy. Ale o tym przekonasz się innym razem — dodał ciszej. Ekscytacja, która przebiegła przez pysk Azy, nie zdążyła się skryształizować. Szczeniak zmiarkował się i ponownie przeniósł wzrok na przedmiot swojej lekcji.

— Ma zupełnie inny kształt, aby mięśnie niezbędne podczas lotu miały odpowiednie miejsce przyczepu. — Ruten zmrużył oczy, uśmiechając się, po czym wskazał łapą kolejne elementy na klatce piersiowej ofiary. — To te mięśnie. Wiesz, co by się stało, gdyby naciąć każdy z nich... w tym miejscu? — Z jakąś niewysłowioną rozkoszą przejechał pazurem po jednym ze ścięgien.

— N... Nie — odrzekł nieśmiało Azair.

— Nasz ptaszek przestałby latać. — Dotykając każdej po kolei struktury klatki piersiowej, basior czuł się jak na przedstawieniu teatralnym, choć nie wiadomo było, czy je ogląda, czy stoi na scenie. Celowo przedłużał zajęcia, by bawić swoje znawcze oko pięknem urządzenia skonstruowanego przez przyrodę.

Nagle przy wejściu do groty dało się słyszeć ciche stukanie pazurami o kamienie. Obaj naukowci debiutanci odwrócili głowy.

— Oto i on. — Na bordowym pysku wciąż tańczył gorzki uśmiech.

— Kto? — zdziwił się szczeniak.

— Mój przyjaciel, który udzieli ci kilku lekcji z zakresu etologii wilków. Ich lokomocji, interakcji społecznych, rytuałów godowych i takie tam, oczywiście. — Oczy naukowca rozjaśniły się, a głos miał łagodny ton, zarezerwowany wyłącznie

dla Azy. Ptak zatrzymał się jak wryty, jakby między nim a wnętrzem jaskini rozciągała się cienka, niewidzialna bariera.

— Zapraszamy — powiedział stanowczo Ruten. Kiedy gość wreszcie przekroczył swoją niewidoczną ścianę, dodał z cieniem wyrzutu: — Dawno mnie nie odwiedzałeś.

— Nie złożyło się. — Mundus podszedł bliżej, jednak nie patrzył na swojego rozmówcę. Jego wzrok przykuło szczenię ślęczące nad martwym gołębiem. — Nie spuściliście krwi...

— Nie złożyło się. — Basior wyszczerzył zęby. — Popatrz, co robimy. Jak ci się podoba?

— Możesz się tak na mnie nie gapić? — mruknął żuraw, zamiast odpowiedzieć na zadane pytanie. — Nie zmieniłem się od naszego poprzedniego spotkania.

— Aza, koniec na dzisiaj — oznajmił nagle basior, kładąc uczniowi łapę na ramieniu. — Przyjdź jutro. Ja skonsultuję z moim drogim przyjacielem kwestię twojego dalszego kształcenia, dobrze? — Uśmiechnął się, mrugając do Azy niczym wielki brat, który wtajemnicza rodzeństwo w jakiś wielki sekret.

Kiedy najmłodszy uczestnik oddalił się, pozostała dwójka usiadła w środku, tak, jak niegdyś mieli w zwyczaju prawie każdego dnia.

— Mundus — zaczął Ruten. A potem przez pewien czas trwali w ciszy, słuchając pokrzykujących na zewnątrz wróbli. Tylko echo ich głosików, które odbijało się od skalnych ścian, wprowadzało do jaskini odrobinę życia. Wreszcie basior dokończył. — Co jest dla ciebie cenniejsze: szacunek, czy zaufanie?

— Nie powinienem chyba przyznawać się do tego otwarcie, zwłaszcza znając twój, nazwijmy to, sposób myślenia. — Lotnik uniósł brew i przez chwilę milczał, nieprzygotowany na podobne pytanie. Jednak ani to zakłopotanie, ani zdziwienie nie odmalowały się na jego obliczu. — Jednoznaczna odpowiedź kosztowałaby mnie to mniej ważne, czy się mylę?

— Chyba nie — odpowiedział wilk z rozbijającą szczerością. — Nie myślałem nad tym. Ale jeśli już miałbym świadomość, kim jesteś, pewnie nam obu łatwiej byłoby współpracować.

— A jakiej współpracy oczekujesz? — zapytał spokojnie ptak.

— Mam ucznia. — Słowa aż iskrzyły samozadowoleniem. Mundus skrył uśmiech głęboko, pozwalając mu rozkwitnąć tylko we własnych myślach.

— Widziałem.

— Pomożesz mi go uczyć? Znasz się chyba na emocjach, na wilkach. Jesteś ni mniej, ni więcej skrzydlatą jaszczurką na szczudłach, a przeżyłeś wśród nich imponujący czas zupełnie bez szwanku. Podzielisz się z nim wynikami swoich długofalowych obserwacji. To wystarczy. — Ptak, słysząc stanowcze zakończenie monologu, w spokojnym milczeniu skinął głową. — Zatem załatwione. Zacniemy od jutra — zarządził złotooki.

— Mam nadzieję, że masz świadomość, jak krucha jest psychika szceniąt.

— O to się nie martw — rzucił wymijająco. — Po prostu rób swoje, a resztę zostaw mi.

Oto Azair

Azair chyba już nigdy nie spojrzy na ptaki w ten sam sposób.

Nawet teraz, wracając do swojej jaskini, obserwował płynące po niebie zwierzęta i zastanawiał się, jakiej siły musiałby użyć, by przebić się pazurem przez skórę, żeby uszkodzić mięśnie i na zawsze pozbawić zdolności lotu szybujące między drzewami sójki. Był dziwnie oziębiały. Czuł, że po nocach prześladować go będą tętnice i mostki. A skoro już o mostkach mowa... Chyba pokochał dźwięk rozcinanej skóry oraz metaliczny zapach krwi, który nie był aż tak intensywny, odurzający, jak na zwykłym polowaniu. W nozdrzach cały czas czuł woń powoli stygnącego ciała, a jego łapy zaczęły drżeć przez pamięć o twardym dotyku metalowej rączki nożyka.

Po drodze zahaczył o pierwszy lepszy stawik, żeby obmyć się z krwi. Może nie znał Ojca zbyt dobrze, ale był przekonany, że nie pochwaliby syna uwalanego w szczątkach, nieważne czyich. Czysty i świeży po kąpieli, zjadł parę jagód znalezionych po drodze i korzonków, których wykopywanie szło mu już całkiem sprawnie. Na wejściu zorientował się, że rodzic jeszcze nie wrócił; zapach był stary. Właściwie było mu to na łapę; nie musiał chować się w kącie i szeptać do Kamyka. Od razu opowiedział wszystko, co go dzisiaj spotkało. Ojciec wrócił, gdy już całkowicie się ściemniło. Przytargał za sobą całkiem sporą łanę.

— Chcesz kolację? — zapytał, samemu zabierając się za pałaszowanie zdobyczy.

— Nie, dziękuję — odparł, z pewnym niesmakiem spoglądając na zwłoki zwierzęcia. Ciekawe, kiedy będzie przerabiał z Rutenem jelenie...

Zero zmierzył Azę pytającym wzrokiem, na co ten tylko wzruszył ramionami.

— Nie jadam mięsa, Ojcie — wyjaśnił, bawiąc się uszami Kamyka.

Nie był pewien, dlaczego to powiedział. Dotychczas jadał wszystko, co podsuwano mu pod nos albo co znalazł w trawie. Głównie mięso, rzecz jasna. A mimo to wzdrygnął się na tę propozycję: propozycję zmarnowania takiej ilości materiału, jaki mógłby przysłużyć się nauce, o której z taką pasją opowiadał nowy znajomy. Delikatne poczucie krzywdy zakłuło jego małe serduszko.

Ojciec teatralnie przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć „Nie to nie”. Zabezpieczył resztki na później, po czym rzucił powszednie „dobranoc” i ułożywszy się wygodnie, zasnął. Niedługo po nim w objęcia snu wpadł Azair, tuląc do piersi Kamyka. Tej nocy jego marzenia senne dotyczyły głównie ptaków. Najpierw było to stado kruków, które goniło go po terenach watahy i dziobało zarówno siebie nawzajem, jak i szczeniaka. Potem on sam gonił gołębia, który po jakimś czasie rozpadł się na kawałki, niewiarygodnie szybko zgnił, a na miejscu jego pochówku wyrosła mała, pospolita stokrotka bez jednego płatka.

Gdy się obudził, Ojciec był jeszcze w jaskini, ale rzucił tylko szybkie przywitanie i wyszedł, nie mówiąc dokąd i po co. Aza nawet mu nie odpowiedział, przejęty kolejnymi zajęciami u Rutena. Pognał do jego jaskini, gdzie czekało coś o wiele ciekawszego niż samotne śniadanie.

Gdy przemierzał szumiący zagajnik, w trawie mignęła mu stokrotka. Z jakiegoś powodu postanowił przyjrzeć się jej bliżej. Wyglądała jak tajemnicza roślinka ze snu. Brakowało jej nawet jednego płatka, dokładnie tak samo, jak tamtej. Dociekliwość szybko ustąpiła miejsca dziecięcemu odruchowi. Zerwał kwiatek i zaniósł go aż do celu.

Na miejscu nie było jeszcze tamtej dziwnej Czapli, ale, jak został poinformowany, jej przybycie było tylko kwestią czasu. Azair położył stokrotkę przy wejściu, zapominając o niej zaraz po przekroczeniu progu ciemnej groty.